

KOMEDYA

KONTUSZOWA W

Miód

PIŁOZA

AKTACH

Miód KASZTELAŃSKI

Krów.
1859-1899.

J. I. KRĄSZEWSKIEGO

Wydanie Księgarni
Leona Idzikowskiego.

14

Koto Spierackie
■ Miejskiej Górze.

*Koło Spiennackie
w Mieczysław Górze.*

J. Jg. Kraszewski.

Miód Kasztelański

Komedia kontuszowa w pięciu aktach prozą.

Wydanie drugie z przedmową

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.



KIJÓW.

Nakładem Księgarni
LEONA IDZIKOWSKIEGO.

W drukarni P. Barskiego.

1899.

Дозволено цензурою. Варшава. 3 сентября 1898 г.

Przedmowa do drugiego wydania.

Po latach czterdziestu.

„Miód Kasztelański“ napisał Kraszewski w pełni wieku męskiego, miał bowiem wówczas t. j. w r. 1859 lat 47 skończonych. Ci, którzy na podstawie obliczeń porównawczych utrzymują, iż dobra komedia może być owocem dojrzałego jedynie umysłu, mogą w tym właśnie fakcie znaleźć potwierdzenie bardzo wymowne mniemań swoich. Rzeczywiście ze wszystkich komedyj Kraszewskiego jedynie „Miód Kasztelański“ przetrwał długoletnią próbę sceniczną i tak samo jak przed laty czterdziestu, dziś jeszcze zajmuje i bawi publiczność teatralną. Ani „Stare Dzieje“, ani „Ciepła wdówka“, ani nawet „Radziwiłł w gościnie“ nie mogą się poszczycić takim i tak ciągłym powodzeniem, a niektóre nawet, jak „Stare dzieje“ oddawna już zeszły z afiszów. Cóż zapewniło „Miodowi Kasztelańskiemu“ to ogólne i długotrwałe uznanie?

Zwolennicy „sztuki czystej“, „sztuki dla sztuki“ powiedzieliby może, iż zupełne zaniechanie wszelkiej

tendencji politycznej, społecznej czy moralizatorskiej w tej komedii, a oddanie się wyłącznie malowaniu uczuć i namiętności, usposobień i charakterów jest głównym powodem upodobania, jakie w niej ogół znajdował i znajduje. Nie przeczę, że część prawdy leży w tem spostrzeżeniu ale niecała „Stare Dzieje“ prawiące o kwestyi włościańskiej mogły interesować do chwili, póki ta kwestya nie została załatwiona; później straciły ten powab i poszły w zapomnienie, tak że obecnie mogą zajmować z historycznego tylko punktu widzenia. Tendencya społeczna, która w swoim czasie nadawała żywotność tej komedii, dzisiaj, nie ma już praktycznego zastosowania, więc nas ku dziełu zapalać nie może. Zgadzam się na to, ale dodam, że gdyby pod względem artystycznym komedya lepiej była wykonana, toby jej tendencya tak bardzo nie zaszkodziła. W „Ciepłej wdówie“, w przysłowiu dramatycznym „Kosa i kamień“, nie ma przecież tendencji społecznej, a jednak sztuki te dość rzadko bywają wystawiane. Dla czego?

Dla tego, że w nich strona artystyczna, choć lepsza niż w „Starych dziejach“ nie jest przecież tak świetnie przeprowadzona jak w „Miodzie Kasztelańskim“. A więc w artyzmie tej komedii szukajmy źródła jej powodzenia... „Miód Kasztelański“ ujął i przedstawił wybornie jedną ze stron ogólnego naszego usposobienia narodowego, skłonność do żartu wesołego, swobodnego do „szerokiego“ jak się sam Kraśzewski wyraził, uśmiechu bez przymieszki goryczy,

gryzącej ironii, sarkazmu. Sangwiniczny temperament pociąga za sobą nadzwyczajną żywość wrażeń, chęć podzielenia się niemi co prędzej bez zachowania ich w zanadru, bez owego melancholijnego nad niemi dumania, które sprowadzić może smutne, przygnębiające uczucia i uwagi. „Jowialność“ jest, jak wiadomo, cechą wybitną naszego staropolskiego „humoru“, który nie ma w sobie prawie nic spólnego z angielskim, artystycznym humorem. A cóż to jest jowialność? Jest to swobodny nastrój ducha, nie zagłębiającego się bardzo w żadne zagadnienia, ani targanego żadnemi wątpliwościami, patrzącego na ludzi z uśmiechem niezgryźliwym, lecz szczerym, otwartym. Dla takiego nastroju wady, ułomności ludzkie nie znikają bynajmniej, lecz się przedstawiają jako cechy wspólne wszystkim śmiertelnikom. Jeżeli się je wyśmiewa, to się pamięta przytem że i my sami im podlegamy, że zatem nie możemy dla tych słabości gardzić ludźmi, bo musielibyśmy pogardzić sobą samymi.

W wyrażeniu tu swoim jowialność taka nie ubiega się za wykwinem i wytwornością słów, posługuje się mową powszednią, codzienną, jakiej używamy w pogadance poufalej, częstokroć przetykając ją dosadnemi, rubasznemi zwrotami, chętnie też czerpiąc ze skarbca przysłów, tej „mądrości narodów“. Żartobliwość tego rodzaju nie może nikogo dotknąć obrazić; pobudza jedynie do wesołego usposobienia, do pozbycia się przynajmniej chwilowo,

przykrych, kłopotliwych wrażeń, do odetchnięcia swobodniej pełną piersią. Jest to zdrowym wypoczynkiem dla duszy, jeżeli może tak się zapomnieć w chwilowej rozrywce, iż jej nie dokuczają troski codzienne, iż może pobujać w krainie, gdzie żadne inne interesa nie istnieją, jak tylko interesa serca, uczucia, przywiązania, miłości. Kraszewski sam to wypowiedział w przedmowie do „Miodu“, że nastrój nowszej komedyi naszej, przejęty od Francuzów, a daleki od wesołości, raził go. Nie powiada, jaka to była owa oryginalna komedia „jednego z najwziętszych pisarzy“, co wywołała tę jego rozmowę z „poważnym staruszką“, ale prawie napewno powiedzieć można, że było to, „Szlachectwo duszy“ Chęcińskiego, świętujące właśnie w r. 1859 największe swe tryumfy. Było tam dużo pięknych i ładnie wypowiedzianych myśli, była zacna dążność, ale komizmu—prawie ani śladu. Komedia bez komicznych sytuacji wydała się Kraszewskiemu czemś dziwnym, pożałował więc tych komedij Fredrowskich, na których śmiać się było można do rozpuku, które tak doskonale przypadały do usposobienia narodowego,—i powziął zamiar napisania komedyi „kontuszowej“. Właśnie wówczas Kaczkowski pisał dużo o tych czasach saskich, kiedy jedzono, pito i popuszczano pasa, a nie tylko Kaczkowski, lecz wielu a wielu pisało o tem, jak to in illo tempore bywało. Korzeniowski utworzył „Wąsy i perukę“, Małnecki dał „Wieniec grochowy“. Kraszewskiemu nie szło wcale o wypadki hi-

storyczne, rzecz jego komedyi dzieje się niby za Augusta II, jest mowa o jakiejś konfederacyi, ale to tylko ogólnikowe zaznaczenia tła, bez najmniejszego zamiaru rozprawienia go szerzej. Autor chciał jeno wyzyskać pogodny niefrasobliwy nastrój, chciał mieć przed sobą innych, rzeźwiejszych, weselszych i dzielniejszych ludzi, aniżeli byli jego współcześnicy, chciał sam się rozerwać i zabawić innych. A nie brakło mu powodów do takiej ucieczki w krainę zmyslenia. Z obywatelstwem Wołyńskiem, wśród którego wówczas mieszkał, nie był w harmonii z powodu swoich „Wieczorów Wołyńskich“, w których nie szczędził barw ciemnych, i z powodu swego głośnego listu w sprawie wyzwolenia włościan; ze spółką wydawniczą Żytomierską poszedł również w rozterkę, z zachowawcami ultramontańskimi „Przeglądu Poznańskiego“ i „Czasu“ pozostawał w jęczącej sprzeczce i t. d.

Łatwo więc zrozumieć, że choć w abstrakcyi chciał znaleźć spokój, że chciał się oderwać od tych spraw nie miłych, drażniących i przez czas jakiś przynajmniej przebywać wśród stosunków całkiem odmiennych, kiedy życie płynęło bujnie i nie pobudzało do przykrych, bolesnych refleksyj—rozumie się także tylko chwilowo. Przedstawicielem tego wesołego usposobienia, tej żywości sangwinicznego temperamentu, tej niefrasobliwości o następstwa, tych conceptów nie bardzo dbających o prawdopodobieństwo, byleby tylko śmiech wywołać, jest pan rotmistrz Kaniowa, który wedle własnego żartobliwego określenia ma serce

ogromne... „jak poledwica“, a głowę na to tylko „żeby było gdzie gębę pomieścić i na co czapkę włożyć“. Ale to żart jeno, bo zapewne, pan rotmistrz głowaczem nie jest, na swoją potrzebę jednak rozumu ma dosyć. W czułości wielkie się nie bawi, palnie komplement jak z rusznicy, klęknie dla wywołania większego wrażenia, lecz przedewszystkiem liczy na słabostki ludzkie i umie je w swoim i swego przyjaciela interesie spożytkować. Przeniknął on obłudnika Jacka Sołoduchę i wie co trzymać o jego pobożności i jego radach dawanych Barbarze Sulimirskiej, więc też wyzyskuje i jego lubieżność i jego chciwość. Ten szlachcic chodackowy, co niedawno zajechał do dworku Barbary w czarnej kapocie, prostą kałamaszką, „ni to pielgrzym z Rzymu, ni to ciura, hołota, biedaczysko“ co to się z początku kłaniał „i drzwiom i piecom i stróżowi folwarcznemu“, pokorny, słodki, choć do rany go przyłóż, zawracający oczyma, wzdychający i potakujący wszystkim, bardzo rychło zawładnął wszystkimi, lecz ze swej roli sługi nie wychodził, ażeby tem pewniej dojść do celu—osiągnięcia kiedyś ręki Barbary, a zwłaszcza jej majątku. Wyborne są słowa rotmistrza, jakimi przemawia do Sołoduchy; nigdy go on wprost nie napastuje, pokornie mówi mu niby rubaszne komplementa, lecz poznawszy obłudną jego naturę, umie każdym słówkiem go nastraszyć, każdym zwrotem mu dopiec. Dobitnie maluje lubieżne usposobienie Sołoduchy, gdy mówiąc o mniemanej księżnej Bamberlink i zachwalając ją, widzi, że Jacek

spluwa: „Nie brzydź się rybeńko złota; ty, widzę, jesteś jak mój stary ogar, co byle sztukę mięsa na stół podali, zaraz ślini... przekonasz się, że wdówka miła i warta grzechu, a bogata! Nie łatwo było staro wygę wyprowadzić w pole, miał się on na ostrożności, odznaczał się czujnością i podejrzliwością i zmógł go jednak Jmć pan rotmistrz co prawda, dopiero przy pomocy „Miodu Kasztelańskiego“, bo wówczas fantazyja wzięła górę nad rozsądkiem i wzniosła Jacka Sołoduchę w krainę marzeń o wywyższeniu i godnościach, zaślepiając go na możliwe przeszkody, jakie mu na drodze [do osiągnięcia dobrobytu i dostojeństw] stanąć mogły. Możeby lepiej było, gdyby pokonanie Jacka Sołoduchy nastąpiło bez pośrednictwa napoju, ale nie zgadzałoby się to najprzód z rodzajem umysłowości rotmistrza, który choć miał rozum, lecz nie był przyzwyczajony do przebiegłości dyplomatycznej, powtóre z charakterem doby saskiej, o której, niestety, Francuzi wytworzyli sobie przysłowie: Quand Auguste buvait, la Pologne etait ivre... wreszcie i co pod względem artystycznym najważniejsza, nie mielibyśmy pysznej sceny picia miodu, tryskającej werwą komiczną. Sołoducha przypomina Molierowskiego świętoszka (Tartuffe'a) swoją pozorną pobożnością i swoją udaną pokorą i rzeczywistym lubieżnym usposobieniem i żądzą zagarnięcia cudzego mienia. Ale różni się od niego stanowczo swoim temperamentem; nie podnosi on nigdy głowy, nie przybiera ani razu tonu rozkazującego, nie osiąga nawet na chwilę try-

umfu; materiału na „dramatyczną“ postać zgoła w nim niema. Pewien stopień dobroduszości istnieje i w jego charakterze; a umysłowo nie bardzo się on wzniosł nad poziom powszedni; kiedy mu wypada tłumaczyć się ze sprzeczności w zdaniach nie ma właściwie innego argumentu nad ten, że go kobiety nie rozumiały.

Scena ta wywołuje wrażenie komiczne, ale dlatego głównie, że zarówno Barbara jak Marta nie celują zdolnościami dyalektycznymi i nie bardzo im zresztą chodzi o to, żeby być przekonanymi o wyższości, czy niższości stanu niezamężnego nad zamężny. Czy na utworzenie postaci Jacka Sołoduchy nie wpłynęły ówczesne zatargi Kraszewskiego z ultramontami „Przeglądu Poznańskiego“ i „Czasu“? Czy nawet i w „Miodzie Kasztelańskim“ tak dalekim zresztą od wszelkich aluzji do teraźniejszości, nie wycisnęły śladu swego choć w tej jednej postaci wpływy czasowe? Po za rzucenie tego pytania nie przechodzę, chociaż przyznam, że twierdząc na nie odpowiedź miałyby dużo za sobą. Pomysł zasadniczy „Miodu Kasztelańskiego“ jest mimowolnem zapewne przetworzeniem pomysłu „Ślubów panieńskich“ Fredry, pomimo całej różnicy, jaka między temi dwiema sztukami zachodzi; i tu i tam mamy dwie kobiety, które postanowiły nie wychodzić za mąż, ostateczny nawet motyw tego postanowienia jest w gruncie rzeczy ten sam: niestałość uczuć męskich. U Kraszewskiego dodatkowo ze względu na Sołoduchę,

wprowadzony jeszcze został żywioł religijny: wyższość stanu wdowiego czy panieńskiego nad zamęście. Idźmy dalej. Postanowienie kobiet w obu sztukach jest nietrwale, lada podmuch zniszczyć je może; obudzenie uczucia zazdrości jest znowuż w obu komedjach tym potężnym środkiem, który prowadzi mężczyzn do pokonania mniemanych ślubów i zapewnienia sobie zwycięstwa. Nawet role męskie są sobie odpowiednie. Rotmistrz to przedsiębiorczy Gustaw, dający inicjatywę, Petryllo poczciwy niezaradny rubacha—to Albin, który wykonywa tylko biernie, i to z wielkim trudem, plan osnuty przez Gustawa-Rotmistrza, by udaną obojętnością względem Barbary a umizganiem się do Księżnej Bamberlink pobudzić uczuciowość nieczulej, a raczej udającej nieczulą wdówki. Księżna Bamberlink odgrywa tu rolę tej zmyślonej Anieli, do której prześliczny list Gustaw dyktuje Anieli rzeczywistej. Wskazując te analogie nie myślę bynajmniej obniżyć przez to wartości „Miodu Kasztelańskiego“; chciałem tylko wskazać przetwarzanie się i przeradzanie się tematów jednakowych w różne odmienne kształty artystyczne. Jako całość, jest „Miód Kasztelański“ oryginalną kreacją zupełnie odmienną od „Ślubów panieńskich“ nie tylko co do barwy zewnętrznej, ale także co do charakterów i szczegółów wykonania. Wiadomo, że te same lub podobne pomysły, obrobione w inny sposób wydają odrębne dzieła sztuki i dość przypom-

nieć takie temata jak miłość matki do pasierba, niewierność małżeńska, płochość i t. d. i t. d.

Byłoby rzeczą zgoła niewłaściwą zestawiać tutaj talent Fredry z talentem Kraszewskiego. Fredro był komedyopisarzem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Kraszewski zaś powieściopisarzem, obdarzonym zdolnościami, który drobną zaledwie część czasu i talentu swego na stworzenie komedyi poświęcił. Dojść do takiej doskonałości w tym kierunku jak Fredro, oczywiście nie mógł, bo talent epiczny rzadko kiedy celuje w kierunku dramatycznym, ale mimo to zostawił kilka utworów scenicznych, mających zalety bardzo wielkie, a z pomiędzy tych utworów „Miód Kasztelański“ pierwsze miejsce zajął nie orzeczeniem samej krytyki, lecz uznaniem ogółu. Trafił nim Kraszewski w zasadnicze usposobienie narodowe, przedstawiając i nastrój i charaktery żywcem wzięte z pośród naszego społeczeństwa jego skłonnościom serca i umysłu odpowiednie. „Miód Kasztelański“ jest ładną komedią czysto-polską i tego tytułu nikt mu zaprzeczyć nie może.

Piotr Chmielowski.

*Zakopane.
3 listopada 1898 r.*

Przedmowa autora do pierwszego wydania.

W czasie przedstawienia znanej bardzo oryginalnej komedyi jednego z naszych najwziętszych pisarzy, trafem siedziałem przy jakimś poważnym staruszką, który wsparty na lasce, przysłuchiwał się jej z wielką uwagą, uśmiechał niekiedy, ale w ogólności do ostatniego aktu dosyć posępnie i milcząco dotrwał. Choć nieznajomi, przemówiliśmy w ostatku do siebie, wzajem udzielając naszych postrzeżeń nad sztuką i grą aktorów.

— Jakże się to panu podoba?—zapytałem.

— Bardzo—rzekł—ale to dziwna rzecz, przyznam się panu, że mi się od lat kilkunastu nie zdarzyło być w teatrze, i znajduję w ogóle, że od dawnej komedyi dzisiejsza odstąpiła bardzo, wyrosła, zestarzała, spoważniała.

— Znajdujesz pan, że jej z tem lepiej?— spytałem.

— Nie przeczę, ale ta dojrzałość i spotężnienie w siły, czy jej nie ujęły uroku młodości? Dawna komedia—dodał— za zadanie miała przedstawienie wad i śmieszności, nie tykając zdrożności i występków: dzisiejsza przeszła w kazanie i satyrę. Polem komedyi była strona życia komiczna.

— Lecz jeszcze w dzisiejszem życiu ta strona?— zapytałem.

— Zapewne, może to być winą smutnego czasu, że i komedia stała się smutną: nie będę się temu sprzeciwiał; ale bądź co bądź czy to jest komedia? To coś nakszałt Diderotowskiego łzawego dramatu: wiele deklamacyj, a pocziwego szerokiego śmiechu starego ani widać.

— Dawniej też — odpowiedziałem — śmieliśmy się raźniej. Przypomnijmy sobie staruszków naszych: ile to dykteryjek, facecyj i conceptów się ich trzymało! Teraz tej wesołości ani widać.

— Tem gorzej dla nas!—westchnął stary.— To dowodzi, że nie mamy czystego sumienia i pokoju w duszy; niechby choć teatr był wesejszy.

—Zkądże ma wziąć do tego żywiołu, kiedy ich życie nie ma?—spytałem.

— Z przeszłości bodajby—odparł staruszek i odszedł powoli.

Wyrazy te utkwily mi w pamięci: starałem się z nich w tej komedyi korzystać. Wątpię bardzo, by mi się ta pierwsza próba udała—osądzicie.

Dnia 15 grudnia 1859 r.

Żytomierz.

OSOBY.

BARBARA SULIMIRSKA, wdowa po Cześniku Sulimirskim, lat dwadzieścia kilka. Ubranie domowe, nie wykuintne, ciemne.

PANNA MARTA, Łowczanka, jej krewna, lat dwadzieścia kilka.

PANI HURSKA, lat dwadzieścia ośm, przedstawiająca księżną Bamberlink.

ROTMISTRZ KANIOWA, konfederat, ubrany z żołnierska, lat trzydzieści kilka.

JACEK SOŁODUCHA, rezydent i totumfacki pani Sulimirskiej, czarno odziany, strój zaniedbany, lat około czterdziestu; blady, suchy, pokorny.

KACPER PETRYŁŁO, z Zabłocia, sąsiad wdowy, lat około czterdziestu; wiejski strój i postawa.

GRZEŚ STOPKA, sługa domu, lat trzydzieści kilka,

RÓZIA, służąca.

HAJDUK.

WOJTEK.

Rzecz dzieje się w domu pani Sulimirskiej, za Augusta II.

h805
BIBLIOTEKA
JIK
P. 1011101010

Akt I.

Scena przedstawia obszerny pokój, po staroświecku umeblowany: portrety kontuszone na ścianach, szpincik w kącie, krosienka u okna. Drzwi troje: jedno w głębi, dwoje po bokach; przeciwległe scenie wychodzą na ganek ogrodowy. Ranna godzina.

SCENA I.

GRZEŚ *pomrukuje ściera pył i zmiata,*
ROTMISTRZ *wpada żywo w stroju podróżnym krótkim: buty do kolan, ładownica i szabla, drzwiami z lewej strony.*

ROTMISTRZ.

Jak się masz, Grzesiu, kochanie! jak się masz?
A co tu u was słychać?

GRZEŚ *(rzucając szczotkę i łamiąc ręce).*

A! co ja widzę? pan Rotmistrz kochany! A to go Pan Bóg tu nam zesłał! Niechże twe kolana,

złoty mój panie, uścisknę! A dalipan! Sasafras! oto w porę z nieba spadł! Nigdy jeszcze pana tak serdecznie nie witał.

ROTMISTRZ.

Widzę to, i dziwię się, i trwożę. Już kiedy mnie tu było potrzeba, to chyba konfederacyą zawiązujecie. Powiadasz, że spadł z nieba, a wiedz Grzesiu kochany, że z niego na ziemię kamienie tylko czasem spadają, nigdy ludzie, i to jeszcze tacy jak ja! Więc tem lepiej, że w porę: gość nie w czas gorzej Tatara, choć to ja nie gość.

GRZES (*ściskając go za kolana*).

Prawda, nie gość, kochany Rotmistrzu! Sasafras!

ROTMISTRZ.

Co to za licho ten Sasafras?

GRZES (*zmieszany nieco*).

Przepraszam pana, to ja sobie wziąłem przyśłowia. Wszyscy jakoś mieli różne pogadanki i przyśłowia: nieboszczyk Cześnik, pan Podczaszy, nawet Pisarz grodzki, proszę pana; tak i ja też myślę, dla czego mam być gorszy? Wziąłem sobie *sasafras*. Niczego, dobre, nikt go nie rozumie, wszyscy mu się dziwią, a jak wyrazu zabraknie, to się niem zatka, że ani widać. Ale niechże pana uściskam, ot to gość!

ROTMISTRZ.

Chwała Bogu, żeście mi radzi! Nie było co robić: konfederacyą deszcze rozwiązały, tak ja do was jak w dym na spoczynek. Jakże się ma siostra Barbara? panna Marta? twoja Rózia?

GRZEŚ (*wzdychając*).

Gdybyż już moja!

ROTMISTRZ.

Przyjdzie to czasem, bylebyś miał determinacyą, afekt szczerzy i trzos nabity. No! a sąsiad nasz Petryllo? a ludzie, a konie, a psy gończe? Het, gadaj mi wszystko, bom i dawno nie bywał i kocham was do ostatniego kota za piecem.

GRZEŚ.

Sasafras! Chwała Bogu wszystko dobrze.. to jest... to jest... nie koniecznie, a prawdę powiedziałem, wszystko źle.

ROTMISTRZ.

Śledzienniku, ha! Wyglądasz jak jabłko, a stękasz jak miech kowalski: abyś gderał.

GRZEŚ.

Ja! sasafras! ja gderać nie lubię; ale kiedy bieda, to bieda!

ROTMISTRZ.

Chory, kto? Mam doskonale pigulki, które wszystkie leczą choroby.

GRZEŚ.

Ale gdzież zaś!

ROTMISTRZ.

Nie urodziło, czy grad wybil?

GRZEŚ.

Cóż znowu? to się u nas nie wodzi.

ROTMISTRZ.

Cóż? proces z pieniaczem jakim?

GRZEŚ.

Ale uchowaj Boże!

ROTMISTRZ.

A to wiesz, że chyba dziś lewą nogą wstałeś z łóżka?

GRZEŚ.

Żartuj zdrów Rotmistrzu z cudzej doli! Mamy tu takiego kaduka, że jeśli pan nas z jego szponów nie wyratujesz, wszyscy poginiemy z krete sem.

ROTMISTRZ.

Więc to sprawa jakaś konfederacka, w której szerpentyny potrzeba? A no! dobrze, dawaj rąbać kogo: na kapustę posiekam!

GRZEŚ.

Zdałoby się i posiekać; ale tu nie tyle szabli, co głowy potrzeba.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

A to wiesz, że źle trafiłeś. Głowa u mnie na to, żeby było gdzie głębieć pomieścić i na co czapkę włożyć; zresztą, *simplex servus Dei*.

GRZEŚ.

Kiedy serce jest, to głowa będzie.

ROTMISTRZ.

Serce! jak polędwica... ogromne!

GRZEŚ.

Pana się żarty trzymają, sasafras, a tu nie-szczęście, kara Boża, klęska, upadek, zniszczenie.

ROTMISTRZ.

Powiedzże mi przecie co się stało.

GRZEŚ.

Nie stało się nic, ale się może stać.

ROTMISTRZ.

No, gadajże, co się tam ma stać?

GRZEŚ.

Zaraz, zaraz, sasafras! Nie przywiduje mi się, nie śni, szczerą prawdą: bieda jest... grozi... tylko

dotąd milczał, chowając to dla pana, bo tu nie ma komu powiedzieć.

ROTMISTRZ.

Dobrze; zrobiłeś jak mój kozaczek, co jak mnie w domu nie ma, mięso zjada, a kości dla mnie w szafce zamyka na wieczernę, gdy wie, że jej jeść nie będę. Praw dalej.

GRZES (*wzdychając*).

Sasafras! Szczęście, że pan mnie nie rozumiesz jeszcze; ale gdy przyjdzie do rzeczy, weźmiesz się pan za czuprynę.

ROTMISTRZ,

Przerażasz mię, a czupryny mi szkoda, gadaj.

GRZES.

Możeby dać wprzód co przekąsić?

ROTMISTRZ.

Nie głodnym a ciekawy; gadaj już...

GRZES.

Ale pan zmęczony?

ROTMISTRZ.

To siądę, a praw swoje; uszów nie mam zmęczonych, tylko nogi. Rąb, akrótko i węzłowato.

GRZEŚ.

Sasafras! Historya nie wesola, nie wiedzieć od czego zaczynać.

ROTMISTRZ.

Od końca, od początku, od środka, wszystko jedno: ja to sobie pozszywam. Jakbym widział, że się na panią siostrę skarżyć będziesz.

GRZES.

Na panią? a chowaj mnie Boże! na tę świętą, kochaną panię naszą: niechajby mi język usechł!

ROTMISTRZ.

To na pannę łowczankę; jeszcze gorzej.

GRZEŚ.

Ale i to dobre, aż nadto: tylko obie gąski, panie Rotmistrzu, i to bieda, że gąski ..

ROTMISTRZ.

Prawże, bo nie rozumiem co ci jest.

GRZEŚ.

Bo nie chcesz pan słuchać. Ot zaraz całą rzecz wyłożę, tylko wprzód zajrzę do drzwi, żeby nas nie podsluchano, bo i to się u nas trafia.

ROTMISTRZ.

Oho! jest tedy Pilat w *Credo*?

GRZES (*wracając odedrzwi*).

Jest Pilat! otóżto sęk, że jest! Zaraz się pan dowiesz kto taki.

ROTMISTRZ.

Zbierasz się mi powiedzieć, jak nieboszczyk Szafrańiec córkę wydawał, aż mu sama z ekonomem w świat poszła. Gadaj, a nie mydl dłużej.

GRZEŚ.

Dom nasz znasz pan oddawna?

ROTMISTRZ.

Ba! jakżeby nie? Tum się przecie sierotą wychował na zawadyję, rodzice Basi byli przybranemi mojemi; tu, nie mając ani domu ani łomu, powracam nieproszony spocząć, gdy kulbaka dopiecze. Nigdzie na świecie kąta nie mam, a pocziwa Basieczka pozwala mi dach ten za mój własny uważać. Przecieżem wam kulawego konia i sukę ze szczeniętami zostawił tu na remanencie.

GRZEŚ (*smutno*)

Koń zdechł, a suka poszła na wędrownkę.

ROTMISTRZ.

Mniejsza o to, wracajmy do domu.

GRZEŚ.

Już jedziemy, panie... Nasza Cześnikowa, jak to panu wiadomo, serce złote, ale i była nieszczęśliwa, i święci się jej być już nią na całe życie.

ROTMISTRZ.

Co pleciesz! Przecież sam Pan Bóg jej wziął Cześnika, a teraz swobodna jak ptaszyna.

GRZEŚ.

Prawda! wziął sobie, nie powiem kto, Cześnika, który był, sasafraś, między nami mówiąc, impetyk, choleryk i pijanica, choć miał dobre momenta... Skończyło się tedy jejmościne piekło, owdowiała...

ROTMISTRZ.

No! i pójdzie za mąż za kogo zechce.

GRZEŚ.

Ba! żebyż chciała! Ludzie poważni i stateczni stręczyli się i stręczą, ale pan pojechałeś wojować w polu z wiatrami, a u nas tu okropne się rzeczy stały.

ROTMISTRZ.

Cóż u licha, czy Tatarzy napadli?

GRZEŚ.

Gorzej Tatara... Pamiętasz pan jednego wieczora, jak to tu szlachcie jakiś zajechał pokornie kałamaszką, ni to pielgrzym z Rzymu, ni ciura, hola, biedaczysko, w czarnej kapocinie, prosząc się na służbę?

ROTMISTRZ.

Jacek Sołoducha, a toć go znam i pomnę.

GRZEŚ.

Pani go przyjęła, że był biedny i potulny, więcej z litości niż z potrzeby. Był sobie ni ekonomicem, ni gumienym; chodził cicho, na paluszkach, ani go było słyszeć, a jak się dobrze usadowił... o ho! teraz spójrz jegomość gdzie siedzi.

ROTMISTRZ.

O! o! na grzędzie!

GRZES.

I na grzędzie i wszędzie, sasafras! Domem, nami, panią, rządzi ani pyta. Zrazu to się to kłaniało i drzwiom, i piecom, i mnie, i stróżowi folwarcznemu, a teraz jemu się co żywe i to niziuchno kłaniać musi, chcieli być całe. Pokorny, słodki, choć do rany, oczy zawraca, wzdycha, potakuje, liże się, kocha wszystkich, a djabeł w nim siedzi.

ROTMISTRZ.

Cicha woda brzegi rwie! tak zawsze. Miałem takiego konia, co bywało idziesz do niego ani drgnie, siadasz, stoi jak mur, gdyby baranek, da ci się dosiąść, a potem jak utnie szczupaka, leżysz niechybnie na ziemi.

GRZEŚ

Słowo w słowo taka szkapa i to.

ROTMISTRZ.

Ale ci się nie przywiduje, śledzienniku!

GRZEŚ.

Sasafras! cóż znowu! Wiecie na co panią namówił: żeby sobie słowo dała nigdy nie iść za mąż... Tak jej stan wdowi odmalował świętym i szczęśliwym, że i ona i panna Marta...

ROTMISTRZ.

Jakto! i ona? A to wisielec!

GRZEŚ.

I panna łowczanka... i panna Rózia, choć najrozumniejsza z nich, a i ta już czasem przebąkuje przeciwko małżeństwu i przeciwko mnie...

ROTMISTRZ.

Otóż masz! domacaliśmy się przyczyny!

GRZEŚ (*urazony*)

E! rzuc pan to! trafił właśnie! Tu o panią naszą chodzi, a nie o nas; niech nas wszystkich diabli biorą, mnie, Rózię, a choćby i kogo w dodatku, aby cześnikowej dobrze było na świecie. Słyszał to kto taką historią: wdowa, bezdzietna, młoda, piękna, bogata, świata ani skosztowała i miałaby tak zaschnąć!

ROTMISTRZ.

To nie może być!

GRZES.

Sasafras! przekonasz się pan sam... P. Jacek wie dobrze na co to robi; powoli, powoli, od spichrza

dochrapał się do szkatulki i worka, od worka doszedł do serca, i Pan Bóg go wie jakie sobie usnuł projekta. Co dzień, sasafras, potężniejszy, a dalej go i kijem nie wypędzisz.

ROTMISTRZ.

To tak coś jak ta historyjka: *złapał Kozak Tatarzyua, a Tatarzyn za łeb trzyma.*

GRZES.

I tak trzyma, że jejmościnyh konkurentów gdzie jaki był, poodprawiał z kwitkiem.

ROTMISTRZ.

Jakto i poczeiwego Petryllę?

GRZEŚ.

A! tego najpierwej: na każdego szepnął coś pocichu.

ROTMISTRZ.

No! no! to jeszcze nie: da się licho naprawić...

GRZEŚ.

Jak nie pan Rotmistrz, to nikt; ja mówiłem i powtarzam: w panu nadzieja!

ROTMISTRZ.

Ale, rybeńko złota, czy ty tylko nie bałamucisz tak jak ów, co to mu się przywidziało, że po

pijanemu przez łeb dostał, dla tego że go plastrami ostawili, i choć rany nie było, a kawęczał.

GRZEŚ.

A! czyż pan mnie nie znasz...

ROTMISTRZ.

Znam żeś tetryk... Ale sprawdzimy to zaraz.

GRZEŚ.

Zobaczycie. Ot i panna łowczanka!

SCENA II.

CIŻ SAMI.—PANNA MARTA.—*Grześ w czasie tej sceny sprząta w pokoju, niekiedy mieszając się do rozmowy.*

—
P. MARTA

(wchodzi i zobaczywszy Rotmistrza staje osłupiała).

Rotmistrz... pan tutaj!

ROTMISTRZ.

(z niskim ukłonem podchodząc do ucałowania ręki).

Ja, ja, sam, z kośćmi i skórą, ścielę się do stóp pani i dobrodziejki mojej.

P. MARTA.

Zkądże? kiedy? jak tu przybyłeś?

ROTMISTRZ.

Zkąd? z obozu wprost; kiedy? dziś; jak? konno na szpaczku, łowczanko dobrodziejko... O! tak, góra z górą się nie zejda, a człowiek z człowiekiem zawsze, tem bardziej mężczyzna z kobietą, którą nad życie adoruje.

P. MARTA (*uśmiechając się*).

Co waćpan pleciesz!

ROTMISTRZ.

Nie żadne to plotki, moja łowczanko droga, ale prawda złota, której tylko jedna waćpani dobrodziejka uwierzyć nie chcesz.

P. MARTA,

A któżby wam wierzył?

ROTMISTRZ.

Jednakże, kiedy się to lat tyle stale powtarza ciągle, możnaby naostatek wziąć w konsyderacyą...

GRZEŚ (*na stronie*).

Jest racya, sasafras! jest racya!

P. MARTA.

Zacząłeś waćpan obcesowo, po swojemu od komplementów, a nie pytasz o nic, nawet o siostrę.

ROTMISTRZ.

Bo wiem, że siostra zdrowa i dobrze jej się dzieje, a ja o mojej biedzie, bo mi ta najbliższa! A! panno łowczanko! panno łowczanko!

P. MARTA.

Mówmy o cześnikowej lepiej.

ROTMISTRZ.

Wola pani: cóż, nie słyhać żeby za mąż iść miała?

P. MARTA.

Iść za mąż! a toż po co?

ROTMISTRZ.

Jakto? a cóż, myśli tak zostać na zawsze?

P. MARTA.

Oplakuje nieboszczyka męża!

ROTMISTRZ.

Męża! a dalipan! gdyby nieboszczyk cześnik sam wstał z grobu, toby się śmiał z tego do rozpuku! Czy się to oni tak bardzo kochali, czy tak długo żyli z sobą... Ale u was tak zawsze; ten lepszy, kogo niestało.

P. MARTA.

A u waćpanów ten najgorszy, kogo macie...

ROTMISTRZ.

Trudno dysputować... Ale młoda, wolna, bogata...

P. MARTA.

To są właśnie powody dla których iść za mąż nie powinna; nie ma się czego spieszyć, i tak jej dobrze...

GRZEŚ (*na stronie*).

Oj dobrze! a drugim jeszcze lepiej! Sasafra!

ROTMISTRZ.

Dzięki Bogu, że choć dobrze!

P. MARTA (*z westchnieniem*).

Bardzo dobrze; a gdyby nie to gospodarstwo, kłopoty, interesa, które szczęściem wziął na siebie zacny i pocziwy przyjaciel.... gdyby....

ROTMISTRZ.

Tak! gdyby kulawy miał dwie nogi, nie byłby kaleką! Ale cóż tu za przyjaciel przybył pod moją niebytność: niechże go poznam.

P. MARTA.

Przecież waćpan znasz pana Jacka. ...

ROTMISTRZ.

A! tego biedotę co to tak pokornie się kłania, że czupryną pył zamiata....

P. MARTA.

Pokora nigdy nie zawadzi... Nie żartuj Rotmistrzu, to najzacniejszy, najpocziwszy z ludzi. Co za człowiek, jak rozumny, jak pobożny! On to pierwszy oczy

nam otworzył, Basi i mnie, okazując całe niebezpieczeństwo małżeńskiego stanu, i skłonił nas do postanowienia, byśmy nigdy za mąż nie szły.

ROTMISTRZ.

Mam za co mu być wdzięcznym! Tak to jest!

GRZEŚ (*do Rotmistrza*).

A co? nie mówiłem! Teraz czym śledziennik?

ROTMISTRZ.

Cicho! potem o tem.

P. MARTA.

Bo na cóż, pytam, mieniać swobodę i niezależność na pęta i kaprysy, którym ulegać potrzeba?

ROTMISTRZ.

Zapewne, lepiej siebie tylko kochać i obchodzić się bez serca cudzego.

P. MARTA.

Waćpan zawsze o tem kochaniu (*rusza ramionami*) ale co warta ta wasza miłość?

ROTMISTRZ (*żywo*).

Co warta!! dla kobiet ja nie wiem: jeśli się bez niej obejść możecie, winszuję, ale nie zazdroszczę; dla nas panno łowczanko, choć na oko jesteśmy czem innem zajęci: wojną gospodarstwem, urzędem, zbieraniem grosza przecie to pierwsze w sercu i na myśli. A jakby nam kochać nie było kogo, i żyćby się odechciało.

P. MARTA.

A! bałamuty wierutne; aby omamić.

ROTMISTRZ.

Bałamuty! jakto? wszyscy bez wyjątku?

P. MARTA

Nie ma żadnego wyjątku, i nie będzie.

GRZEŚ (do Rotmistrza).

Aha! sasafras! widzisz waćpan co się tu święci!

ROTMISTRZ.

Wyrok okrutny, ale gdy od niego do Trybunału przyszłości apel założę, *de noviter repertis*... może inaczej raczycie osądzić... Kto wie?

P. MARTA.

O! nie waćpan nie wygrasz.

ROTMISTRZ.

Choć nadzieję, moja łowczanko dobrodziejko!

P. MARTA..

Ciesz że się sobie nią, kiedy ci tego dosyć.

ROTMISTRZ.

Dosyć, nie; ale za nadzieją, może jak za jutrzeńką dzionek, lepsze szczęście zawitać. To tylko przekąska przed obiadem....

(wzdycha)

Więc ferowałyście panie wyrok ostateczny przeciwko całemu rodzajowi męzkiemu!

P. MARTA.

Ostateczny i nieodwołany.

ROTMISTRZ.

A pan Jacek trzymał pióro i sekretarzował.

P. MARTA.

Proszę tylko nie mówić na niego.

GRZEŚ (na stronie).

Słyszysz pan? sasafras!

ROTMISTRZ.

Ja się tylko pytam.

P. MARTA.

Ale czuć w zapytaniu urazę, a to człowiek na którego my z Basią nie powiedzieć nie damy: najzacniejszy, najpoczeiwszy.

ROTMISTRZ.

U nas w pułku, moja łowczanko dobrodziejko, jest niejaki Maciórka, który ma władzę nad ciurami; nie znałem go wcale: przyjeżdżam, pytam, ten i ów z ludzi chwałą go, pod niebiosą wynosząc... Ha! myślę musi to być człek wielkiej zacności; aż mówi pułkownik: a on ich wprost ze skóry odziera i dlatego tak chwala, bo się boją. Ale tu, to co innego. P. Jacek ósmy

cud świata. .. To tylko śmiech, że mimo postanowienia celibatu, takiście się bez mężczyzny nie obeszli.

P. MARTA.

Ależ dom, interesa....

ROTMISTRZ.

I na wszystko starczy, (nawet na pozawracanie głowy); dziwna istota, aż muszę pójść po gospodarstwie, bo tu dobrze, ale w polu nie wiem jak.

P. MARTA (*żywo*).

I w polu, i w gumnie, i w oborze, i wszędzie...

GRZEŚ (*na stronie*),

A najlepiej w jego kieszeni podobno.

P. MARTA.

Ale biegnę oznajmić Basi, która nic jeszcze o Rotmistrzu nie wie, a będzie mu rada.

ROTMISTRZ (*czule*).

I tak mnie panna łowczanka, po wiekowem niewiedzeniu się rzucasz niepokieszonego, bez dobrego słowa, bez uśmiešku, bez nadziei! Godziłoby się inaczej!

P. MARTA.

Waćpan zawsze swoje.

ROTMISTRZ.

Nie lepiej i łowczanka; nie masz litości w sercu!

P. MARTA.

Ej! porzuciłbyś już waćpan.

ROTMISTRZ (*nastając*).

Nie porzucę, jak mi Bóg miły; nie, i póty błagać będę choć o nadzieję...

P. MARTA (*żywo*).

Aż ja waćpanu odbiorę? Czy tak....

ROTMISTRZ.

Nie będziesz tak okrutna! (*całuje ją w rękę*.
P. Marta wychodzi drzwiami w prawo).

SCENA III.

ROTMISTRZ—GRZEŚ.

ROTMISTRZ (*stoi chwilę zamysłony*).

Żle, bardzo źle: miałeś waćpan słuszość, Grzesiu! Myślałem już doprawdy, że ja kochać przestał; widzę nie ma na to lekarstwa, jeno ożenienie: ledwie zobaczył, dawna choroba wróciła! To tak jak mój węgrzynek do flaszki: póki jej nie widzi, klnie się że statkować będzie; aby zobaczył, już się upił. Otóż i ja, zobaczyłem i znowum po uszy zakochany, a łowczanka gorzej niż kiedy mnie przyjmuje.

GRZEŚ.

To jeszcze nie: napatrzysz się tu waćpan pięknych rzeczy.

ROTMISTRZ.

Prawda, że Jacek głowy pozawracał; prawda.

GRZEŚ

A cóż! tetryk jestem? śledziennik? sasafras, nie mówiłem że?

ROTMISTRZ.

Mówiłeś, ale na to trzeba radzić i poradzimy; już kiedyśmy z panem Podskarbibm dali sobie rady, damy i z niemi. Nie było grosza, nie było, a taki choć przez pół zapłacić nam musieli.

GRZEŚ.

Tu przez pół nie do rzeczy: wykurzyć go, wykurzyć!

ROTMISTRZ (*myśli*).

Widzi mi się i Petrylle trzeba dać znać; nigdy sprzymierzeniec nie zawadzi!

GRZEŚ.

Różnie to się trafia, a Petryllę odprawili z kwitkiem i bywać u nas przestał...

ROTMISTRZ.

Póki mnie nie było; teraz gdy o mnie zasłyszysz, wszak przyjechać może zobaczyć starego przyjacię-

la, i przekonać się, że mnie Sasi na pekeflejsz nie osolili.

GRZEŚ.

Tst! cicho! cicho! po chodzie kocim poznaję pana Jacka. Idzie, idzie! A lżyjże pan przed nim serdecznie, żeby się nie dowąchał roboty.

ROTMISTRZ.

Bądź spokojny i zmykaj!

(*Grześ wymyka się w lewo; w tejże chwili prawie wchodzi p. Jacek Sołoducha z głębi*).

SCENA IV.

ROTMISTRZ *zdejmujący z siebie ładownicę i odpasujący pałasz* — P. JACEK.

JACEK (*cicho, pieszczono, słodko*).

A! kogożto ja oglądam? Rotmistrza dobrodzieja kochanego! (*ściskają się*). Kopę lat! kopę lat! stęskniliśmy się... Do nóżek się ścielę, stopeczki całuję! Cóż za szczęśliwa gwiazda i fortunne fatum w dom Cześnikowej go sprowadza? Może nie raczysz sobie przypominać sługi swego?

ROTMISTRZ.

Jakże! Zarazem waćpana poznał, zwłaszcza, że miałem w pamięci jego oblicze.

JACEK.

Ot, to szczęście dla domu!

ROTMISTRZ.

Kury, indyki i piwnica niech się cieszą bo wygłodnieli konfederaci gotują się serdecznie je powitać. Konfederacya; mocimdziu rybeńko złota, rozwiązana: no, gdzież było jeśli nie do was jak w dym, do siostruni kochanej?

JACEK.

Serce złote, kochany Rotmistrzu; będzie serdecznie rada!

ROTMISTRZ.

Nie wątpię panie Jacku; przywykła do moich figlów od dziecka, przyjacieleśmy starzy i z nią, i z szpiarnią, i z piwnicą: serce jej znam jak kąty tego domu.

JACEK.

Szczęśliwy, bardzo szczęśliwy wypadek.

ROTMISTRZ.

Wcalenie wypadek: to tak coś jak mój nieboszczyk brat, który miał ząb do Horyszki, i po pijanemu jak go chlaśnie... wypadkiem, a on na to trzy miesiące czekał, żeby go poczęstować...

JACEK (*przerywa*).

Na to wyrazu trudno znaleźć, jaką nam sprawa rozkosz.

ROTMISTRZ.

Nie szukajcie słów, a dajcie jeść mnie i koniom, to lepiej reszta się ja domysle. Ale jak się miewacie? co waćpan porabiasz?

JACEK.

Ja? at, służę i Bogu się modłę.

ROTMISTRZ.

Oboje dobre, byle nie nadto. Powiadają o jednym szlachcicu, że się tak do swego patrona modlił i umizgał, że mu ten w końcu raz z obrazka przemówił: „A nie nudźże mnie trutniu, choćby jeden dzień w tygodniu!”

JACEK.

Żart trochę śmiały.

ROTMISTRZ.

Istna prawda; wszak i święci nudziarzy nie lubią. Jakże się ma siostra, bom jej dotąd nie widział?

JACEK (*smutnie, wzdychając*).

Zawsze oplakuje męża.

ROTMISTRZ.

To coś tak jak ten, który spróchniałego zęba wyrwanego przez cyrulika, żałował, i w papierku go nosił zanadrzą.

JACEK.

Zawsze to był jój małżonek!

ROTMISTRZ.

Spróchniały i bołący. Ot, czasby jej pono o innym pomyśleć.

JACEK.

Nie wiem; kilkakroć to insynuowałem ostrożnie (bo co to do mnie sługi należy): zawsze się oburza, i o mało nie pogriewała się na mnie.

ROTMISTRZ.

Osobliwsza rzecz, jak to ludzie czasem po śmierci nieboszczyków kochają: i nie dziw, bo za życia nie było sposobu.

JACEK.

Nie miałem szczęścia znać ś. p. Cześnika.

ROTMISTRZ.

O! gdybyś go był znał, dałby ci się we znaki: bez bizuna się nie ruszył, częstokroć jeszcze pięści używał, a co komplementów, tych było u niego nie kupić.

JACEK (*zagadując*).

Święta to pani nasza i pobożna!

ROTMISTRZ.

Jużciż za mąż idąc, z Panem Bogiem klócić się nie ma potrzeby.

JACEK.

Trzeba to zostawić czasowi.

ROTMISTRZ.

Masz słuszość, to majster; on najlepiej przekonać potrafi, i gdy będzie zapóźno, siostra się obejrzy niezawodnie. No, a więcej co u was słyszać?

JACEK.

Nie; siedzimy, pracujemy; życie się wlecze jak zwykło na tym padole płaczu.

ROTMISTRZ.

Polujesz wac?

JACEK.

Ja! a gdzieżbym zaś niewinne stworzenia miał zabijać?

ROTMISTRZ.

Co tłuste, to winne, panie Jacku; o chudych nie mówię. Konie dobre macie?

JACEK.

Do kolebki? są...

ROTMISTRZ.

Tfu! pod siodło! pod siodło!

JACEK.

Nie wiem, może się znajdują.

ROTMISTRZ.

Trzeba wyszukać: zresztą, aby młode, najeździć to ja potrafię. Jest u mnie berejter rzemienny, pleciony, z galką na końcu, który tak najeżdża, jak żaden w świecie. A że tu myślę zabawić, a z piecem w cztery oczy siedzieć nie lubię, trzeba mi i koni i ludzi; sąsiadów ja sam poproszę. Na starą moją kwatery czy już rzeczy znieśli?

JACEK.

Ztamtąd zaraz moje wyniosą.

ROTMISTRZ.

Toś mi ją zajął?

JACEK (*zakłopotany*).

U mnie w piecu swędziło: z rozkazu pani Cześnikowej musiałem... chwilowo...

ROTMISTRZ,

No, to się nie ruszaj; ja gamrat dobry, pomieścimy się razem, a że w nocy czasem z pistoletów strzelam, do tego się przyzwyczaisz. Miałem w obozie delikata towarzysza, który zrazu tak tego nie lubił że się zrywał, krzycząc; ale w dwa tygodnie prosił mię sam żebym sobie pukał.

JACEK.

Ale ja mam alkierz dla siebie; będziemy się starali jak najgościnniej przyjąć Rotmistrza.

ROTMISTRZ,

A na co mnie przyjmować? ja się sam przyjmę, bądźcie spokojni! Wiem wszystkie zakamarki.

JACEK.

Bylebyś waćpan dobrodziej miał satysfakcyą.

ROTMISTRZ.

Jak nie będzie gotowej, to ją sobie zrobię nie kłopotcz się o mnie i tak musisz mieć dużo roboty.

JACEK.

Shuję co sił staje...

ROTMISTRZ.

Nie rwij tylko nad siły. Był u mnie koń taki strasznie gorący, bata mu ani pokazać: cóż myślisz? poderwał się, i potem żydom wodę woził.

JACEK (*śmiejąc się*).

Bodaj waćpana, panie Rotmistrzu, zawsze dykteryjka.

ROTMISTRZ,

Nauczę cię ich ile umiem.

JACEK (*po namyśle*).

Gdybyś pan pozwolił sobie jedną uczynić uwagę.

ROTMISTRZ.

I dwie, i trzy, jeśli łaska.

JACEK.

Co się tyczy naszej pani, nie uwierzysz Rotmistrzu, jak się od niejakiego czasu zmieniła, zwłaszcza o małżeństwie słuchać nie lubi.

ROTMISTRZ.

Ja to wiem, ale to zależy od przyprawy. Miałem kopcidy ma co tak baraninę przyprawiał, że jej nawet psy jeść nie chciały: zbrzydziliśmy ją, ani patrzeć; kiedy—patrz! jak ją drugi potem upiekl, palceśmy oblizywali... jak sarnina.

JACEK.

Jednak lepiejby z nią o tem nie mówić.

ROTMISTRZ.

Zostaw to mnie; ja wiem jak się ta potrawa przyprawia.

JACEK.

O! kochany pan Rotmistrz! nie wątpię.

SCENA V.

CIŻ—BASIA, *wbiegając wesoło.*

—

BASIA.

Gdzież on jest? gdzie? A! bratuniu kochany, jak mi się masz? *(całują się serdecznie)*. Pokażże-no mi

się, jak wyglądasz? Osmalony, czarny, zarosły, ale zdrow i rumiany, chwała Bogu!

ROTMISTRZ.

Cześnikowo kochana! Basieczku złota! a waszećże no pokaż buzię i oczki, czy zawsze tak śliczne jak dawniej? Dalipan, jeszcześ mi wypiękniała na utrapienie ludzkie! choć trochę mizerna.

BASIA *(spuszcza oczy)*.

Cóż chcesz? zwyczajnie biedna wdowa.

ROTMISTRZ.

Ślicznie biedna! jak ten co w sienniku miał milion a pisał, żebrząc po ulicy. Biedna! wiesz jak zemia obiecana, mlekiem i miodem płynąca, szkatułka nie pusta, twarzyczka jak u aniołka na obrazku, dzieci nie ma; krewnych dokuczliwych, oprócz mnie, nikogo; przyjaciół, kamieniem rzuć, pewnie którego trafisz... co asindzee za bieda?

BASIA.

Zawsze ten stan wdowi!

ROTMISTRZ.

Otóż to złote słóweczko, Basiu kochana, Cześnikowo droga! Wdowi stan nie-potem, prawda święta; dawno ci się pocziwy mąż należy.

BASIA.

Co-bo ty mówisz, sowizrzale?

JACEK (*pokaszlując, przerywa*)

Zwyczajnie, pan Rotmistrz po wojskowemu sobie te sprawy lekko bierze, choć rzecz pewna, że stan wdowi poważny jest i święty.

ROTMISTRZ.

Błogosławiony! święty! a małżeński także, jeżeli nie lepszy, bo człowiek ma co Bogu ofiarować. Starym wdowom tylko siedzieć pod kościołem i różaniec odprawiać, ale pani siostrze!...

BASIA.

I ja już nie jestem tak młoda!

ROTMISTRZ.

Właśnie, i na pasku ci chodzić niepotrzeba.

JACEK (*chrząkając*),

Prędko mijają latka, a zwłaszcza niewiastom.

ROTMISTRZ (*do Jacka*),

Nie gadaj waćpan, kochany Jacku, o tem, czego nie rozumiesz. Co tobie do kobiet, a kobietom do ciebie? Twoja rzecz złożyć ręce i wzdychać... a na kwestarza Bernardyńskiego jakbyś na urząd był zrobiony.

(*Śmieją się, Jacek się krzywi*).

JACEK (*chmurno*).

Wolałbym być kwestarzem, niż bezbożnikiem.

ROTMISTRZ

Cyt! kochanie! nie róbże mnie ateuszem, póki nim nie zostanę, i nie pal na stosie, bo ci się na pieczyście nie przydam—zatwardym! A co prawda to prawda, że Basi trzeba za męż.

BASIA.

Dajże pokój, kochany bracie!

JACEK (*uniżenie*).

Niechże się pan nie gniewa... prawdziwy sługa pański.

ROTMISTRZ.

Ja czasem biję, ale nie gniewam się nigdy! My także przecie modlimy się w obozie, ale dlatego nie wyklinamy, gdy kto zamaż idzie. Sam Pan Bóg ten stan pobłogosławił... Chcecie chyba, żeby się świat skończył?

BASIA.

Dość już tego; mów lepiej gdzie bywałeś?

ROTMISTRZ.

A cóż? w polu, moja Basiu; konfederowaliśmy, obozowali, krzyczeli, mokli, głodnieli, pili dużo, a jedli mało, hetmana przepędzili, pieniędzy wymęczyli trochę, a teraz już folga do przyszłego lata: z boćcianami na wiosnę znowu w pole. Mów lepiej coś ty tu porabiała?

BASIA.

Tęskniliśmy, pracowali, modlili się.

ROTMISTRZ.

O! o! jejmość sobie, a do jejmości też tu nie jeden modlić się musiał.

BASIA.

Porzuć te płoche żarty: szanuj mój stan wdowi.

ROTMISTRZ.

E! Basiu, Cześnikowo kochana! nie żartem mi stetryczałaś; trzeba na to lekarstwa, a nie ma jak wesoly sąsiad i skrzypki. Cóżto. czy cię ludzie opuścili? pustki w domu.

BASIA.

Mało kto bywa w istocie.

ROTMISTRZ.

A kochany Petryłło?

BASIA.

Ten także bywać poprzestał.

ROTMISTRZ.

On!! a niechże go kaczki zdepczą! (jak mówią Litwini), najwierniejszy twój przyjaciel! Nie wiedzieć już komu wierzyć, kiedy ten zawiódł.

BASIA.

Daj mu pokój, on nie nie winien.

ROTMISTRZ.

No, to jejmość?

BASIA.

Może, trochę...

ROTMISTRZ.

Chybaś go odprawiła.

BASIA.

Po cóż mi się oświadczył?

ROTMISTRZ.

Piękne pytanie! bo się chciał ożenić.

BASIA.

Ale ja zamaż iść nie myślę; wolę mój stan wdowi.

ROTMISTRZ.

Ciągle to wdowieństwo!

JACEK (przerywając).

Rotmistrzu kochany! pozwól sobie pokorną uczynić uwagę, że złote jarzmo małżeńskie zawsze jarzmem, a w Bogu żywot wdowi słodszy niż z najlepszym mężem.

BASIA.

Nieprawdaz?

ROTMISTRZ.

Głowy się wam pozawracały; przecież po Bożemu i z mężem żyć można! Wszysecy zamaż idą...

BASIA.

I żalują.

ROTMISTRZ.

Tak jak i ci co nie szli, bo człowiek zawsze żałować musi tego, co zrobił. Bywa tak, bywa inak. Był u mnie dawniej Piotrek dobre chłopię. a miał taki nałóg, że się objadał; jak się obezre, krzyczy a płacze: *póki życia nie będę!!* a wygłodniawszy się, żałuje, że nie jadł. Nigdy z nim do ładu trafić nie mogłem.

BASIA.

A! plecincu ty jakiś!

ROTMISTRZ.

Pogadamy o tem jeszcze... Ot, chodźmy-no po kątach się rozpatrzyć i pogawędzić wolnym czasem. Służę ci, siostruniu! (*Wychodzą razem*).

SCENA VI.

P. JACEK *sam, chodzi po pokoju.*

Żle! źle! już się było niezgorzej ukartowało: miałem siedzieć jak u Boga za piecem, kiedy tu lichy

konfederata wniosło; trzebaby pomyśleć, jak go leciuchno ztąd wysadzić, bo mi za skórę zaleje. Niech długo tu nie popasa, bo wszystko przerobi. Kobiety słabe stworzenia: jak zacznie, jak zacznie konwinkować, poprzerabia na swoje kopyto. Już wszystko miałem w ręku... kto wie na czem się to skończy mogło; możeby poczekawszy Cześnikowa poszła za mnie, a tu gotów i Petryllę i innych gachów. naprowadzić! Pomodliwszy się, pocichutku trzeba użyć wszelkich sposobów, aby sobie ruszył z kąd przyszedł. Cześnikowej łatwo będzie przedstawić niebezpieczeństwo: człowiek bez obyczajów, bez wiary, zawsze dla domu niebłogosławieństwo: niechby sobie wracał do obozu. Lepiej mu co dać, a pozbyć się takiego gościa.

SCENA VII.

P. JACEK—GRZEŚ.

JACEK.

Słyszysz, Grzesiu, kochanie?

GRZEŚ.

Sasafras! a słyszę.

JACEK.

Żeby tam koniom i ludziom kochanego Rotmistrza na niczem nie zbywało.

GRZEŚ.

Nie frasujcie się! krzywdy sobie uczynić nie dadzą. Znają wszystkie kąty: do masztarni, do spiżarni, do lochu, jak kluczków nie znajdą, to się włamią.

JACEK (*przestraszony*).

Co mówisz, kochanie?

GRZEŚ.

To tacy ludzie!

JACEK.

I kochany Rotmistrz?

GRZEŚ.

Rotmistrz najpocciwszy człowiek, ale jak się pogniewa, wyląjać, wybić, a choćby i powiesić z prędkości, u niego jak chleb z masłem zjeść. Prawda, że za tych, których powieszał i porąbał, regularnie się modli i nabożeństwo odprawia.

JACEK.

To tak, kochanie moje! to źle, moje kochanie! Śliczna pociecha!

GRZEŚ.

A tak! Szczególniej nienawidzi tych, co mu się w oczy wdzieczą, a za oczy buty szyją: tym to nie daruje nigdy.

JACEK (*z westchnieniem*).

A! bo też to są źli ludzie, kochanie!

GRZEŚ (*rusza ramionami, poglądając na niego*).
Sasafras!

JACEK.

A jak ci się zdaje, długo tu oni zabawią?

GRZEŚ.

Mówią: rok—półtora pewno.

JACEK (*przestraszony*).

Co mówisz? kochanie!

GRZEŚ.

Jeżeli nie dwa! A co im tu źle?

JACEK.

Miły Boże! wszystko zjedzą!

GRZEŚ (*kończąc*).

I wszystko wypijają dom do góry nogami przewrócą.

JACEK.

Nieszczęście! czyżby nie mogli gdzieindziej trochę popaść?

GRZEŚ.

Dom siostry ma swe prawa.

JACEK.

Już ja w tem, żeby się nie gniewał... Co mówisz, kochanie?

GRZEŚ.

Milczę. sasafras!

JACEK.

Ja także, ale pani mi szkoda

GRZEŚ.

Pani rada. Byle im było dobrze.

JACEK (*miarkując się, z pokorą*).

Masz słuszość, kochanie! co nam do tego? myśmy słudzy. Idź, przygotuj śniadanie; ale lepszej starki nie dobywaj; zostawimy ją napotem.

GRZEŚ.

Nie bójcie się, dobiorą się i do najlepszej, bo obu wkrótce niestanie. (*Wychodzi*).

SCENA VIII.

P. JACEK *stoi chwilę zamyślony, wchodzi BARBARA.*

BASIA.

Jakiżes waćpan niedobry! czemu do nas nie przychodzisz? Szukam was po całym domu. Musiałam

Rotmistrza przy pannie Marcie strojącego koperczaki zostawić; mocno mnie ubawił; śmieliśmy się jak nie pamiętam.

JACEK (*wzdycha*).

Śmiech! śmiech! A! mościa dobrodziejko, gdyby tylko po śmiechu nie płakać.

BASIA.

Śmiech tak niewinny...

JACEK.

Zapewne, ale wesołości ostrożność zawsze obawiać się każe; szatan w niej często swe sidła zastawia.

BASIA.

Ale tak umiarkowana wesołość?

JACEK (*podnosząc oczy ku niebu*).

Możesz człowiek słaby być pewien, że ją umiarkuje?

BASIA.

Kochany panie Jacku, trudno wszystkim tak być świętym jak waćpan.

JACEK (*składając ręce*).

Ja? A! na Boga! jestem najnędzniejszym grzesznikiem! Znam to do siebie.

BASIA.

Ganisz więc tę wesołość naszą?

JACEK.

Niebezpieczna! Robię tylko uwagę pokorną—niebezpieczna!

BASIA.

Prawda, wy zawsze zdrowo radzicie; sama to czuję, i bardzo wdzięczną wam jestem.

JACEK.

Gdybym się ośmielił jeszcze jedną pani zrobić uwagę...

BASIA.

Dlaczegoż nie, proszę bardzo.

JACEK (*cicho, ostrożnie*).

Ledwie śmiem przyznać się, że mnie przybycie kochanego Rotmistrza jakąś trwogą napelnia.

BASIA.

Trwogą? ale o cóż, dlaczego?

JACEK.

Przywiązanie moje do was sprawia, że drzę o dom nasz cały, o panią Cześnikową dobrodziejkę...

BASIA.

A w czymże Rotmistrz groźnym mi być może?

JACEK.

Najzaciejszy z ludzi, kochany, szanowny, ale człek pomimo to lekki i lekceważący wszystko: zwyczajnie

wojak, wedle ich obyczaju i życia poglądający na świat. W obozie to dobre, ale w tak świętym domu, daj Boże! by nie zasiał niepokoju.

BASIA.

Jakiego? czem? nie rozumiem prawdziwie...

JACEK.

Może być, że moje obawy są płonne, ale one pochodzą z serca przejętego czcią i przywiązaniem. Jużśmy byli na dobrej drodze pogardy świata i marności jego; pani obrałaś sobie bogobojny żywot wdowi panna Marta postanowiła nie iść zamaż ja z rzewnem uczuciem szedłem w ich ślady... człek świecki może nas na inny wprowadzić gościniec! Ta wesołość ..

BASIA,

Przyznam ci się, panie Jacku, że nie gniewałabym się za trochę dystrakcyi.

JACEK.

Co słyszę!

BASIA (*nieśmiało*).

Wstyd mi wyznać, ale bardzo u nas jakoś tęskno.

JACEK (*ruszając głową*).

Święta to tęsknota pobożnej duszy, która zawsze poprzedza błogi stan uspokojenia i szczęśliwości. Po uciechach światowych tylko męty zostają.

BASIA.

A! to prawda!

JACEK.

Jeżeli mi wolno dalej ciągnąć uwagę moję, trochę rozrywki sprawi pragnienie ciągłej zabawy; powoli wejdzie to w nałóg, a towarzystwo płochych ludzi łatwo naprowadzi na złamanie uczynionego ślubu.

BASIA.

Nigdy! nigdy!

JACEK.

Wierzę w to, lecz truchleję. Rotmistrz ma całkiem inne pojęcia. Kochany Rotmistrz!! Ale to żołnierz, hulaka! A gdyby w końcu miał swe przekonania tu zaszcześcić?

BASIA.

Ale cóż za myśli!

JACEK.

Myśli zuchwałe pokornego sługi... Wszakci już mówi, że skrzypki i sąsiadów posprowadza.

BASIA.

Jemuż się trzeba rozerwać.

JACEK.

Niech jedzie się rozrywać, ale ich tu nie sprasza (jeżeli wolno słudze uczynić uwagę). Niechby mu pani stanowczo swą wolę oświadczyła.

BASIA.

Toby od nas uciekł; ja tego nie chcę!

JACEK.

Wola pani święta dla mnie, ale i on i Petryło...

BASIA.

Scierpieć ich trzeba.

JACEK. (*wzdycha*).

Tak, (jeżeli wolno uczynić mi uwagę) to się w początku cierpi, potem się przywyka, przyzwyczajają, polubi, pokocha, i najświętsze postanowienia w zapomnienie idą. A ileżto tak dusz poginęło!!

BASIA.

Prawda, ale jakaż na to rada?

JACEK.

Trzeba mocnego charakteru.

BASIA.

Zdaje mi się, że mi go nie braknie; oprę się pokusom.

JACEK.

Jeśli mi wolno uczynić uwagę, jako pokornemu słudze, w kobiecie cała siła, od pokusy uciekać.

BASIA.

A jeśli nie można uciec?

JACEK (*pokornie zawsze*).

Zawsze można! Ale usta zamykam, aby najlepsze
chęci moje fałszywie tłumaczonemi nie były.

BASIA.

O! panie Jacku! mówże, proszę, zaklinam.

JACEK (*waha się*).

Tak, pokorny sługa, uczynię to z obowiązku... Dla-
czegożby pani widząc niebezpieczeństwo, nie miała
Rotmistrza kochanego zasilić i... odprawić!

BASIA.

Bój się Boga: to moj brat!

JACEK (*zmieszany*).

Milczę więc... choć jego dobra i pani dobra pragną-
łem. Niebezpieczeństwo groźniejsze niż się zdaje;
utracić duszę, to więcej niż pożegnać brata! Kto wie,
kto wie, co wyniknąć może! ale milczę... milczę!

BASIA.

Doprawdy, napelniasz mnie strachem.

JACEK.

Sam pełen jestem trwogi o siebie.

BASIA.

Święty człowiek doprawdy! gdybyśmy z niego
przykład brali!

JACEK (*spuszcza oczy*).

Czyż pani co jej natchnie własne uczucie... Widzę,
żem pragnął niemożliwej rzeczy...

BASIA.

Tak, panie Jacku, niemożliwa! Będziemy się mieli
na baczności; któż wie może i jego nawrócim. Twój
przykład, twe słowa.

JACEK.

Niedoleżną jestem istotą.

SCENA IX.

CIŻ — GRZEŚ.

GRZEŚ (*wchodząc*).

Pani tam proszą; panna Marta Rotmistrzowi opę-
dzić się nie może: chce ją w nogi całować.

BASIA.

A! nieszczęście! biegnę!...

JACEK. (*żywo*).

Widzi pani, oto się już zaczyna historia...
(*Barbara wybiega w prawo. Jacek w lewo odchodzi*).

SCENA X.

GRZEGORZ *sam.*

No, zdaje mi się, że się harce już poczęły; p. Jacek zasepiony jak środa na piątek, Rotmistrz w ferworze, w to mu graj; kobiecie same nie wiedzą kogo słuchać; kto tu wygra, a kto weźmie dublę? nie wiem. Stawilbym coś na Rotmistrza, ale i to lichy chytre, a pocziwość nie zawsze górą.

SCENA XI.

GRZEŚ—ROTMISTRZ *wchodzi śpiewając.*

ROTMISTRZ.

Było ich dwie u matusi
Obie śliczne, obie młode:
Jedną za mnie wydać musi,
Nie, to na łeb skoczę w wodę.

Plakał, stękał, matka w strachu,
Coż już robić, bierzże sobie.
Ot i bieda, miły gachu,
Któraż wybrać?? chyba obie!!
(bis)... chyba obie.

(*postrzega Grzesia.*)

Posłałeś po Petryllę?

GRZEŚ.

Pojechał kozaczek na szpaku.

ROTMISTRZ (*śpiewa*).

„Chyba obie, chyba obie!”

Wyniósł się tam ten zakrystyan z mojej kwatery? he?

GRZEŚ.

Właśnie jego węzelki powoli wyprowadzają.

ROTMISTRZ.

Szkoda, niechby był stał ze mną, byłbym go na żołnierza przerobił.

GRZEŚ.

Sasafras! albo on waszmości na Kapucyna.

ROTMISTRZ.

Trochę trudno; zobaczmy kto tu z nas kogo wyforuje, bo jegomość już mi baby pobuntował: Basia mi się przyznała. Otóż kiedy wojna, no to wojna: kłaniasz się ty i ja się będę kłaniał; kochasz, będę kochał; łziesz, będę i ja łgał: zobaczmy kto tu z nas wygra.

GRZEŚ

Wszelako nie łatwa sprawa

ROTMISTRZ.

Najlepiej kiedy trudna: człowiekowi we łbie smaży się jak w rynce i zawsze coś się upieczce. To tak jak

ten mieszczanin, co go to byli na szubienicę skazali i posadzili na wieży; widzi, że nie przelewki, z pasa i koszuli postronek ukreślił, na dół się spuścił, uciekł na Wołoszczyznę i... hospodarem został!!

GRZEŚ (*trzęsąc głową*).

A jakby się urwał postronek?

ROTMISTRZ.

Byłby sobie o bruk łeb rozbił, co zawsze lepiej niż wisieć na postronku: rzecz bardzo słyszę niewygodna!

GRZEŚ (*śmieje się*).

Rotmistrzu, dobrodzieju, ratuj!

ROTMISTRZ.

Tylko cicho, niech Petryllo przyjedzie; mam już coś na myśli: zobaczysz, jak zakrystyana wystrychnie my na dudka.

GRZEŚ,

Tylko strach! strach...

ROTMISTRZ.

Dla wilka nie iść w las, e! to nie po konfederacku, nie takieśmy zdobywali obozy! A jak się nie uda, siędziemy z tobą na koń, Grzesiu, i pojedziemy na Wołoszczyznę: jednego z nas niezawodnie hospodarem obiorą...

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Część dziedzińca przed domem, na przodzie widać dwór stary, w lewo oficyna, na prawo folwark, kilka drzew pośrodku.

SCENA I.

ROTMISTRZ—PETRYLLO *przechadzają się*.

ROTMISTRZ.

Przyjacielu serdeczny i stateczny, to nie są żarty; ciebie już ztąd wiernego i poczciwego druha przepędzili, dalej i ze mną to zrobią. Basię ten uniżony sługa opętał, że go słucha; potrzeba radzić, obmyśleć coś i ratować, inaczej nie mam i ja tu czego gościć. A żal mi Basi: tak ją jak siostrę rodzoną kocham.

PETRYLLO.

A jaż! Rotmistrzu. ja aż schudłem z desperacji, gdy mnie odprawiła... Ale co tu na to za rada nie ma żadnej. Eh! bo te kobiecie, kto z niemi do ładu trafi! Ja sobie prosty człowiek, weredyk: jak mnie widzisz

tak mnie pisz, planów żadnych układać nie umiem, prawdę tylko mówić potrafię nie zająknawszy się. Tajemnicy mi żadnej powierzyć nie można, bo ją za pierwszym słowem wypłunę, do pokątnej roboty się nie zdał. Jeżeli wam potrzeba serca, to jest; głowy, nie koniecznie; a chytrłości, ani pytaj.

ROTMISTRZ.

Toż ja cię znam z kośćcami; ale gdybyś choć na dwa dni naturę przemienił? he?

PETRYŁŁO (*z ruchem wyrazistym*).

A kiedy nie mogę!

ROTMISTRZ.

A tu ja rachowałem na ciebie jak na Zawiszę: myślałem, że taki na polityka wyrosłeś.

PETRYŁŁO.

Trudno: abym tylko chciał skłamać, język mi się zawraca i rzekę czegom nie powinien. Zdajmy wszystko na wolą Bożą.

ROTMISTRZ.

To znaczy, niech się z Basią żeni ten włóczega!

PETRYŁŁO (*oburzony*).

Niechże Bóg broni!

ROTMISTRZ.

Inaczej nie będzie, kiedy ty się jej wyrzekasz; on pozwoli poczeka, wypatrzy godzinę i jak swoją zabierze.

PETRYŁŁO.

Ten... ten... niezdara! panią cześnikową: świętokradztwo!!

ROTMISTRZ.

I stanie się to z twojej winy.. Przynieśli nam raz na kwaterze we Lwowie pieczeń, ale tak skąpo, że na dwóch nie starczyło: był u mnie Podczaski. „Jedz“ powiadam: on w ceremonie, ja w ceremonie; tymczasem mój chart machnął i mięso pochwycił.

PETRYŁŁO (*żywo*).

A niechby go diabli porwali... No cóż? radzić? wziąć go, związać w kij, wynieść na rozstajne drogi i rzucić.

ROTMISTRZ.

A piękna rada (*śmieje się*). Tobys go właśnie męczennikiem uczynił niewinnym, żeby go potem mieli za świętego, który dla wiary cierpiał... Trzebaż tu mowanie, pokazać czarno na białem, że to oszust.

PETRYŁŁO.

Jaki z ciebie statysta, Rotmistrzuniu! Prawda, nigdybym na tę myśl nie wpadł, a to jedyne zbawienie! Trzeba ich przekonać, że to furfant!

ROTMISTRZ.

Więc mi do tego dopomóż! Razem! ławą! wiara ze mną!

PETRYŁŁO.

Pójdę za tobą w ogień i wodę, gdzie rozkażesz: weźmiemy łotra i powiesim.

ROTMISTRZ.

Bój się Boga, ty znowu swoje: tak nie można!

PETRYŁŁO.

Prawda, więc jak?

ROTMISTRZ.

Na intryganta potrzeba intrygi użyć i podstęp.

PETRYŁŁO.

Istotnie, jedyny sposób!

ROTMISTRZ.

Trzeba go wywieść w pole!

PETRYŁŁO.

Nie inaczej! Co to z ciebie za polityk!

ROTMISTRZ.

Wszystkiego nauczyła konfederacya: tam, powiadam ci, i z ciebieby zrobili statystę, bo nieustannie potrzeba było łąć.

PETRYŁŁO.

To nad moje siły! taka głupia natura...

ROTMISTRZ.

I mojać nie lepsza: prawdę wolę, choć w oczy kole, tylko że nie zawsze nią dojedziesz do końca: kiedy błoto, musisz kałużę bokiem obchodzić, a tu właśnie kałuża.

PETRYŁŁO.

I to prawda!

ROTMISTRZ.

Tylko mi dopomagaj; zażyjemy go z mańki.

PETRYŁŁO.

Czem chcesz: workiem, szablą, ręką, sercem, byle nie głową i językiem.

ROTMISTRZ (*namyśla się*).

To pewna, że lisem podszyty pan Jacek, że sobie na Cześnikową zakroił, że grosza chciwy, że mu i ładne oczki nieobojętne; więc gdyby i buziaka jakiego i grosiwa mu znaleźć, a wystawić na pokusę, kto to wie, czyby nie wydał się z naturą?

PETRYŁŁO.

Jak dwa a dwa cztery.

ROTMISTRZ.

Wymyślże co!

PETRYŁŁO.

Ja czekam, żebyś ty wymyślił.

ROTMISTRZ.

Przecież cośbyś mógł mi poddać.

PETRYŁŁO.

Nie pytaj: jak nie bić i nie wiązać, nie potrafię nic.

ROTMISTRZ.

Nie wielką mi jesteś pomocą: coś jak ów co to stał w rynku, gdy dzwon na wieżę wciągali, i sobie patrząc na robotników, kurczy się, jakby pracował. Pyta go ktoś: co waszeci?—A ja też dzwon ciągnę, powiada.

PETRYŁŁO (*śmieje się*).

Słowo w słowo ja tak... (*myśli*) A gdyby go poprostu wziąć i szepnąć mu w ucho: ruszaj, jeśli chcesz być cały.

ROTMISTRZ.

Poskarży się jejmości, a Basia weźmie jego stronę.

PETRYŁŁO,

Prawda, źle.

ROTMISTRZ.

Źle! (*Chodzą i myślą*).

PETRYŁŁO.

A gdyby...

ROTMISTRZ.

Co? rybeńko złota!

PETRYŁŁO.

Nie, nie, i tak nie można.

ROTMISTRZ.

Możeby można...

PETRYŁŁO (*przerywa*).

Co?

ROTMISTRZ.

Na nic się i to nie zdało; potrzeba tu się nam kogo poradzić: ot, jakby w samą porę, Rózia idzie. Dziewczyna filut jak mało, trzeba z nią pogadać. Słuchajno, Rózieczku!

SCENA II.

C I Ź — R Ó Z I A.

ROTMISTRZ.

Stój, śliczna panno, niechże się z tobą przywitam! Dalipan, wszystkieście tu wyładniały jeszcze.

RÓZIA.

Chyba pobrzydły i pobladły.

ROTMISTRZ.

O! o! z czegoż? toć to raj!

RÓZIA.

Jeżeli nie czyściec! Pan chyba nie wiesz, co się tu u nas dzieje i pod czyjem jesteśmy panowaniem?

ROTMISTRZ.

Trochę wiem! Chwała Bogu, że choć ty zdrowa i nieopętana.

PETRYŁŁO.

Rózi dobrodziejki służeczka!

RÓZIA (*do Petryłły*).

A! pan tu znowu do nas zawital? Myślałam, że go już nie zobaczymy.

PETRYŁŁO.

I nie byłybyście oglądały, gdyby nie Rotmistrz, chyba w kościele na odpuszcie; boby tu noga moja nie powstała. Nie mogę patrzeć na to, co się u was dzieje.

RÓZIA.

A któż temu winien, jeśli nie panowie?

PETRYŁŁO (*razem oba*).

Ja?

ROTMISTRZ (*razem oba*).

My?

RÓZIA (*ciszej*).

A któż? Gdybyście panowie nas nie opuścili, nie porzucili samych, byłoby inaczej.

PETRYŁŁO.

Rozumnie mówi.

ROTMISTRZ.

Bieda tylko, że po harapie; a jak teraz posiedzimy?

RÓZIA.

Czy nie zapóźno to będzie?

ROTMISTRZ.

Nie są rzeczy zdesperowane: gdy kogo do grobu w trumnie niosą, jeszcze czasem wstanie.

RÓZIA.

Ludzie umieją z czasu korzystać. U nas teraz co innego w głowie. Nie, panowie, iść za mąż nie myślimy wcale: mężczyznami się brzydzim.

ROTMISTRZ.

I ty, Róziu, także?

RÓZIA (*markotnie*).

Jużciż muszę...

ROTMISTRZ.

A Grześ?

RÓZIA.

Balamut i niecnota!

ROTMISTRZ.

Srodze go to boli.

ROZIA.

Panów nie mniej.

PETRYŁŁO.

Zna rzecz, sprytna! Ale nie bawmy się próżno w te zagadki; powiedz nam lepiej, jak tu na to poradzić?

RÓZIA (*wesoło*).

Jakto? Panowie we dwóch nie możecie znaleźć na to sposobu, a chcecie, żeby jedna biedna dziewczyna od was była mądrzejsza?

ROTMISTRZ.

Przecież jest przysłowie; gdzie djabeł nie może...

RÓZIA.

Tam posyła konfederata. Cha! cha!

PETRYŁŁO (*śmiejąc się*).

Ot to mu ucięła!

ROTMISTRZ.

Jakieś nowe przysłowie.

ROZIA.

Ale dobre!

ROTMISTRZ.

Ale ty jesteś także konfederat w spódnice, Róziu kochanie. Przystępuj z nami do związku, a nie, to cię rozsiekamy! Jak mi co dobrego poddasz,

przyrzekam i klnę się, że ci takie z Grzesiem wyprawię wesele, jakiego żadna z twoich praprababek nie miała: sam ci marcypany będę oddawał, i utnę mowę, że koty płakać będą.

ROZIA.

A któż się będzie śmiał?

ROTMISTRZ

Ja!

PETRYŁŁO.

Mowy nie powiem: to mi trudno; ale gdybyś co poradziła, po weselu dam dworek dożywociem w Zabłociu, jak się patrzy, z ogrodem.

RÓZIA.

Ja to wolę, i biore za słowo, żeby tylko na dożywocie zarobić.

PETRYŁŁO.

Zarabiaj, serce, a prędko.

ROTMISTRZ.

Jam już to trochę przemyślał, czem go wyforować, ale nie wiem jak to wykonać.

RÓZIA (*po namyśle*).

Nie można inaczej, tylko trzeba, żeby sobie sam poszedł dobrowolnie.

PETRYŁŁO.

Zachciałaś: to poczekamy!

RÓZIA.

Jeśli go wypędzicie, tyle po nim zostanie, jakby sam był, i pewniusięńko powróci.

PETRYŁŁO (*zdumiony*).

Co to za rozumna kobieta!

ROTMISTRZ.

Wotujemy na jedno. Prawda, że gdyby go do tego przywieść, aby się wstydu napil i wydał czem jest, byłoby formalne zwycięstwo; ale czy ma on diabła za skórą? tu sęk!

RÓZIA.

Hm! hm! Nie święty, to pewna: oczki mruży, ale i pod brodę głaszcze, i na grósz łakomy; zlakomilby się i na... (*wstydzi się i przerywa*). Ale co ja mam panom mówić?!

ROTMISTRZ.

Słowo w słowo moje zdanie: siedzimy na jednej ławie, Róziu kochana. Myślę, że gdybyśmy mu podstawili tu kogo młodego, a niby bogatego, coby mu słodkie oczki zrobił...

PETRYŁŁO.

Gdyby! ale zkadże wziąć?

RÓZIA.

Jestem prawie pewną, że choć ma zamiary na panią naszą, ale wolałby co łatwiejszego: tu jeszcze kruche nadzieje.

ROTMISTRZ.

Śliczny interes! I mamy mu szukać ożenienia bogatego. A niechby go lichy porwało, żebym ja go swatał!

RÓZIA.

Przecież nie naprawdę.

PETRYŁŁO.

E! to już filozofia, której ja nie zgryzę.

ROTMISTRZ.

A ja ukaszę, ukaszę, tylko—czekajcie-no!
(*Rózia długo szepce mu w ucho*).

Bóg zapłać, toś mi przypomniała w samą porę. Będzie wesele i marcepany.

PETRYŁŁO (*zdumiony*).

Co? ty będziesz bogatą wdowę udawał? ja? czy ona?

ROTMISTRZ. (*śmiejąc się*)

Bądź spokojny, już mam co potrzeba. Dobra nasza bez maryasza! A Rózia mi poddała taką osobę, której tylko komedya grać.

PETRYŁŁO.

Dożywocia nie cofam.
(Różia kłania się i odchodzi żywo).

SCENA III.

ROTMISTRZ—PETRYŁŁO.

PETRYŁŁO.

Wytłumaczże mi czegoś taki rad, i co ci Różia
na ucho szepnęła?

ROTMISTRZ.

Wiesz, mówiła mi, żeśmy oba głupi.

PETRYŁŁO.

No, ja jak ja, ale za cóż waćpan, Rotmistrzu?

ROTMISTRZ.

Żem się nie domyślił, czegom był powinien.
Ciesz się Petryłło!

PETRYŁŁO.

Cieszę się na kredyt, z góry, z największą chęcią.

ROTMISTRZ.

Mamy już wdówkę: śliczności, miluchną, bogatą,
zalogną, wesolą; i ty i ja będziemy się do niej zalecali.

PETRYŁŁO.

Ty jak ty, ale za cóż ja? Nie mam ochoty wcale.

ROTMISTRZ.

Nie wiesz, że kobiety mają to w naturze, iż idą
za tymi, którzy od nich uciekają: podrożym się
trochę z sobą, udamy zakochanych, a panna Marta
i Basia znów ku nam afekta obróca.

PETRYŁŁO.

Jest poniekąd logika; ale zkąd takiej wdówki
dostać?

ROTMISTRZ.

Już ona jest: to moja rzecz.

PETRYŁŁO.

Twoja rzecz, ale potrosze i moja, kiedy i ja
mam się umizgać. Powiedzże mi co to za jedna,
bo ja w ciuciubabkę grać nie lubię.

ROTMISTRZ.

Śluchaj tylko: jadąc tu, po drodze, o dziesiątek
mil może, spotykam Hurską, siostrę pocziwego
Bogusia. Znasz ją? wdowa po chorążym Hurskim.

PETRYŁŁO.

Nie znam ani jej, ani brata.

ROTMISTRZ.

Tem lepiej. Wdówka ciepła, młoda, zalotna, wesola
jak ptaszek, pocziwa, miła, a trzpiot! ah! ah! Je-

chała na Ruś do swoich; tośmy się naśmieli przez drogę, że dopiero w miasteczku o milę ją porzucił. Wystawże sobie, jaki ze mnie gamoń: zapomniałem o tem, choć Basi i Marcie o niej opowiadałem rano; dopiero mi ją Rózia, która podsłuchiwała, przypomniała.

PETRYŁŁO.

Aeś ją o milę porzucił?

ROTMISTRZ.

To ją o dwie mile złapię. Zobaczysz, cacko nie kobieta!

PETRYŁŁO.

Piękniejsza od Cześnikowej?

ROTMISTRZ.

Piękniejsza.

PETRYŁŁO.

I od Łowczanki?

ROTMISTRZ (*urazony*).

A gdzie zaś? to nie może być! Dosyć, że ładna. rezolutna i stworzona do komedyi; sprytna jak ogień. Jadę do niej, opowiem co się święci: jej w to graj; przyjedzie, i jeżeli w pole nie wyprowadzi pana Jacka, nie zbałamuci i nie spokusi, tom nie konfederat.

PETRYŁŁO.

Czyżby chciała?

ROTMISTRZ.

Upadniemy do nóg, pocałujemy w nogi...

PETRYŁŁO.

I ja także?

ROTMISTRZ.

I ty, bo pojedziesz ze mną.

PETRYŁŁO. (*namysłając się*).

Hm! a nuż którego z nas za jednym zachodem zbałamuci?

ROTMISTRZ.

Będziemy się ostro trzymali, podkuwszy na cztery nogi. Przywieziemy ją tu, wcale nie wydając za chorążyne Hurską, ale za bogatą księżną niemiecką: rozumiesz?

PETRYŁŁO.

A! jaki z ciebie filut!

ROTMISTRZ (*chodząc i myśląc*).

Jak ją tu nazwać?

PETRYŁŁO.

Nazwisko, to się nie komponuje: rzecz poważna.

ROTMISTRZ (*myśląc*).

Tak, tak, dobrze: księżna! Księżna Bam-ber-link...

PETRYŁŁO (*podchwytyjąc*).

Jak? jak? Dalibóg i nazwisko potrafił skomponować: jak z bicia trzasł! Jak się będzie nazywać?

ROTMISTRZ.

Bamberlink! Tylko cicho i *motus!* ani słowa: ja zaraz wszystko przygotuję... (*woła*) Grześ! Grześ!

SCENA IV.

CIŻ — GRZEŚ, (*wpadając żywo*).

GRZEŚ.

Sasafras! Co pan Rotmistrz każe?

ROTMISTRZ.

Konie żeby mi były natychmiast gotowe.

GRZEŚ.

Konie? na co?

ROTMISTRZ.

Jadę zaraz.

GRZEŚ.

Pan! sasafras! cóż się stało? dokąd?

ROTMISTRZ.

Nic się nie stało, ale jechać muszę.

GRZEŚ.

A! ulituj się! nie opuszczaj! miej miłosierdzie! zginiemy bez ciebie!

ROTMISTRZ.

Na godzinę?!

GRZEŚ (*uspokojony*).

A no, oddycham; godzinę to i bez Rotmistrza przeżyjemy.

ROTMISTRZ.

Koni parę a dobrych, kulbakę wziąć moją; niech kozaczek dobrze ją umocuje... Jadę, to jest jedziemy oba po księżnę, która się tu do was wprosiła w gości-
nę, o czem zapomniałem, jakom żyw, powiedzieć.—
Chwała Bogu ot i Basia; zaraz się z poselstwa sprawię
(*Grześ odchodzi*).

SCENA V.

ROTMISTRZ — PETRYŁŁO — BASIA. (*Petryłło zmieszany kłania się Cześnikowa zmieszana i zarumieniona także*).

BASIA (*do Petryłły*).

Takeśmy już was dawno nie oglądali, kochany sąsiedzie!

PETRYŁŁO (*kłania się*).

Nie chciałem być natrętnym...

ROTMISTRZ.

A serce najpocziwsze, Basiuniu, doprawdy lepszego, (po mnie rozumie się) nad niego przyjaciela nie masz...

BASIA.

Zawsze mi też miło było pana u nas oglądać!

ROTMISTRZ.

Ale jemu nie było miło siedzieć, patrzeć i oblizywać się jak temu, com to go widział w refektarzu u Kapucynów w Lublinie; zjadają wszyscy, a on stoi i czyta, wachając potrawy których nie liźnie. Na coście mu, siostruniu, dali odprawę?

BASIA (*zmieszana*).

Cichoż Rotmistrzu! ale ja iść za mąż nie myślę, a przyjaźń sąsiedzka zawsze mi była drogą.

PETRYŁŁO (*rozczulony*).

A! moja Cześnikowo dobrodziejko kochana, kiedy bo ze mnie głupie chłopisko: albo wszystko, albo nie! Kochałem cię chyba równo z Bogiem, to już teraz na zmarzlej przyjaźni przestać trudno: wolałem nie widzieć, by nie boleć!

BASIA (*wzruszona*).

E! nie mówmy o tem sąsiedzie: dobrze, że przyjechałeś.

PETRYŁŁO.

Cześnikowo! to dla mnie wielkanocne święto, kiedy ciebie oglądam.

ROTMISTRZ.

No, ale muszę waćpaństwu przerwać czułości gadu gadu, a psy w krupach... Przybyłem tu w poselstwie, ale jakem zaczął was kochać i rozczułać się, zapomniałem ze szczerem o najpilniejszej sprawie... Mam do asindzki prośbę od wielkiej osoby.

BASIA.

Od wielkiej osoby, do mnie?

ROTMISTRZ.

Której ja jestem wierzytelnym posłem, siostruniu. I ta osoba i ja prosimy cię o jedną wielką łaskę...

BASIA.

Co tylko każesz, spełnię; wszak znasz serce moje dla ciebie.

ROTMISTRZ.

Serce anielskie, ale posłuchaj o co chodzi. Wystaw sobie, że jadąc tu, o mil dziesiątek od was spotykam na gościńcu ogromny jakiś tabor, ludzi, koni, dwór, kolebkę; jakoś tak droga wypadła, że ani się minąć: jedziemy tedy razem... Zaglądam przez ciekawość do kolebki, a w niej siedzi niewiasta piękna jako Wenera, mości dobrodzieju.

BASIA (*ruszając ramionami*).

Otóż jest! zawsze bałamut!

ROTMISTRZ.

Nie posądzaj, bo będziesz grzech miała. Piękna, ale nie dla mnie; jest nawet przysłowie stosowne: *nie dla psa kielbasa, nie dla kota sadło*... Jedziemy tedy dalej, wloką się powoli, szwargoczą koło niej po niemiecku, są i Polacy, marszałek dworu pludrowaty, koniuszy kontuszowy, wszyscy zakłopotani, jejmość chora, noga za nogą ciągniemy, ja z niemi przez ciekawość. Więc na popasie, mając gdańską wódkę, zabieram znajomość z koniuszym, dopytuję: nic dobyć... Pijemy dwa kieliszki, pijemy trzy...

PETRYŁŁO.

Najlepszy sposób dostania języka.

ROTMISTRZ.

Jakoż rozwiązała mu się gęba: gadu gadu, przyznaje mi się, że to jest księżna niemiecka Bamberlink, która świeżo straciła męża. Nieborak najadł się grzybów i wypił stągiew wody: niestało go w dwadzieścia cztery godzin. Powiada mi, że chociaż Polka, bo z domu księżniczka Ostrogska, ale jedzie do Saxonii dla interesów...

BASIA.

Ostrogska? która?

ROTMISTRZ (*zagadując*).

E! to tam z Rusi! z innej linii! ale bogatych, dziedziczka trzystu wsi i dwudziestu czterech miasteczek, król ją sam slysze wydał za tego Bamberlinka, aby dobra tej rodziny weszły do niemieckiego worka, (a może i z innych konsyderacyj)... (*uśmiecha się i mruga*).

PETRYŁŁO (*głośno*).

Ależ kłamie! ależ pływa!

ROTMISTRZ (*na stronie*).

Mileżałbyś! szczerza prawda; spytajcie świadomych...

BASIA.

Więc cóż dalej?

ROTMISTRZ.

Ja tedy przez koniuszego, który mnie prezentował po piątym kieliszku, poznałem się z księżną J. M. Dobrze na podziw i miłe stworzeńko. Wystaw sobie, nie domagającą zostawiłem ją w gospodzie żydowskiej... a że zapachu cebuli znieść nie może, mdleje co chwila... Zaraz tedy zaproponowałem jej, aby tu do Cześnikowej dobrodziejki odpocząć przyjechała wygodnie... ale żem nie śmiał sam decydować, staję tu jako poseł.

BASIA.

O! mój Boże! najchętniej przyjmę! ale gdzie ja posadzę, czem nakarmię, jak uhonoruję!

ROTMISTRZ.

Nie fraszuj się, myślisz że to tak straszna Niemka? A to powiadam ci, kubek w kubek nasza szlachcianka prosta, i aby tylko trochę odeszły szpary, zobaczysz jak wesoła i wyśmienita.

BASIA.

Toś ją tak zbliżka poznał?

ROTMISTRZ.

W podróży znajomość łatwa, przytem, widzisz, nie było doktora; mdlą, musiałem ją leczyć: znam się trochę na medycynie, bo w obozie zawsze wszystkie konie chore kuruję.

BASIA.

O! szalupucie!

ROTMISTRZ.

Tak jest, już ciż koń szlachetne zwierzę; a co jemu pomaga, czemu by księżnie nie służyło?

PETRYŁŁO.

Rotmistrzu! herezye gadasz ..

ROTMISTRZ.

Nie, między koniem a kobietą jest wiele podobieństwa: oboje kochamy, obojgu nie wierzym, bez obojga się nie obejdziemy.

BASIA.

Czego wy na nas nie wymyślicie!

ROTMISTRZ.

Więc jadę po księżnę: miał ze mną jechać Petryłło, ale widzę że mu się nie chce; pozwalam więc, by został i czekał na mnie, a sprawował się przyzwoicie.

PETRYŁŁO.

Za to zaręczam.

ROTMISTRZ.

Zostawuję ci go, Basiu, i pod twoją oddaję opiekę.

BASIA (*skłopotana*).

Ale jakże tę księżnę przyjmujemy?

ROTMISTRZ.

Bądź spokojna: niech na wieczrę kapłona zarzną, krupniku nastawią, a ja w tem, że gęby sznurować nie będzie... zaraz ci ją przywożę...

(*odchodzi żywo*).

SCENA V.

BASIA—PETRYŁŁO (*oboje pomieszczeni jakiś czas w milczeniu stoją*).

—

BASIA.

Doprawdy, miły sąsiedzie, jeszcze ci raz muszę wypowiedzieć, żeś o nas zupełnie zapomniał...

PETRYŁŁO.

Ja! a! Cześnikowo dobrodziejko! mnież to mówisz, cobym dla was życia nie pożalował...

BASIA.

Życia! cha! cha! sąsiedzie kochany, jak wam mężczyznom nie słowa nie kosztują; mówisz, że życiabyś nie pożalował, a oto podąsawszy się na mnie, żem waćpanu nie odpowiedziała po myśli, nie mogłeś prze- nieść żeby się nie pogniewać, i nie chciałeś mi już i oczów pokazać.

PETRYŁŁO.

A! gdybyś wiedziała, Cześnikowo, jak mi serce bolało.

BASIA.

I z waćpana bałamut, sąsiedzie.

PETRYŁŁO.

Już co sobie chcecie, aby nie bałamut: gbur, chłopisko niezdarne, nazywajcie jak się podoba, ale nie bałamut. Czyżem ja na to wiernemi swemi służby do- robił się u waćpani... Ej! kochana Cześnikowo, sro- goście zawinili gardząc moim afektem.

BASIA.

Afektem nie gardzę, ale za mąż iść nie myślę.

PETRYŁŁO.

Czemu?

BASIA.

Uczyliłam postanowienie.

PETRYŁŁO.

Nie do rzeczy, Cześnikowo.

BASIA.

Winnam to p. Jackowi, że mnie zreflektował, pocziwy.

PETRYŁŁO (*oburzony*).

Pocziwy! śliczna pocziwość! ludzi durzyć: ot to bałamut!

BASIA.

On! miły Boże! a! nie mówcież!

PETRYŁŁO.

Dajmy lepiej temu pokój święty, ja jestem go- rączka, a ten mi zalał za skórę; to lis! lis! wie on dla czego to czyni; ale damy mu radę!

BASIA (*przestraszona*).

Co? jakto? ktoś—my?

PETRYŁŁO.

Mnie to wiedzieć, zobaczycie...

BASIA.

My!! doprawdy trwożysz mnie waćpan.. cóż to jest?

PETRYŁŁO (*zagryza usta na stronie*).

Tfu! otóż papla, jużem się wygadał!
(*głośno*).

E! to mi się tak wyrwało bez myśli!

BASIA.

Chyba! bo on Bogu ducha winien; człowiek cichy i spokojny, a rzadkiej bezinteresowności, nawet nagrody nie przyjmuje.

PETRYŁŁO.

Do czasu, weźmie on ją sobie później nawiązką, jeśli doczeka... ale nie doczeka..-

BASIA (*znowu przestraszona*).

Czego nie doczeka?

PETRYŁŁO (*zmieszany*).

To ja tak trochę przeklinam z wielkiego żalu.

BASIA.

Czasby się pomiarkować, doprawdy; zresztą cóż on winien, żem ja postanowiła, idąc za jego przykładem, nie iść za męż...

PETRYŁŁO.

Za jego przykładem! otóż czobaczcie... (*urywa*).

BASIA.

Co?

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Znowu o mało nie wygadałem... (*głośno*). Wiercie zdrowi: jakby mu się co dobrego trafiło, nie rzuci na drodze.

BASIA.

Nie sędzę, by słowo złamał, człek pocziwy i zacny.

PETRYŁŁO (*rusza ramionami*).

Bodaj go tak! gdyby był pocziwy i zacny, byłby moje przywiązanie do asińdźki ocenić potrafił, nie byłby waćpani bałamucił. A co to lepszego, że ja uschnę, a Cześnikowa się zanudzisz... A! a! droga sąsiadko, jakbyśmy to byli żyli z sobą! O mój Boże, byłby to raj na ziemi!

BASIA (*zagadując*).

Dajmy temu pokój.

PETRYŁŁO.

Nie mogę nie myśleć, nie żałować, nie mówić! Podumajcie tylko, w jakim pokoju, zgodzie i miłości bylibyśmy spędzili dni nasze. A nie milejże toby było we dwojgu zasiąść, Pana Boga chwalić, niż osobno tęsknić, cierpieć i męczyć się!... A! Cześnikowo, u mnieby ci chyba ptasiego mleka zabrakło! W Zabłociu jak w ziemi obiecanej.

BASIA (*żywo*).

Ale jabym się do Zabłocia nie przeniosła!

PETRYŁŁO

No! to siedzielibyśmy u ciebie, kochana Cześnikowo; toć jedno, a jakby nam jeszcze Bóg pobłogosławił, a dał szczebiotkę...

BASIA (*rumieniąc się*).

Co-bo mówicie!

PETRYŁŁO.

Nie byłżeby to raj ziemski! Toćbym ja tego na koronę nie pomieniał!!

BASIA.

Waćpan jesteś tak prędki.

PETRYŁŁO.

Prawda, ale mnie Cześnikowa, końcem palca mogłabyś trzymać, jak na żelaznym munsztuku: serce prędkie, ale gorące też i stałe.

BASIA.

Nie nie mówię przeciwko sercu, ale...

PETRYŁŁO (*machając ręką*).

Nie ma ale: byłby raj!

BASIA.

Cóż, kiedy być nie może!

PETRYŁŁO.

Za to ten człowiek odpowie; ale trochę cierpliwości, a wypłacim się za swoje.

BASIA.

Co waćpan mówisz? mieliżbyście jakie zamiary?

PETRYŁŁO (*poprawując się*).

Ale żadnych! żadnych! to tak żal za mnie gada! (*na stronie*). Jak dłużej to potrwa, języka nie strzymam: ratujcież mnie, ratujcie! gdyby choć kto nadszedł!

BASIA.

Prawdziwie zaczynam być niespokojną.

PETRYŁŁO.

Nie ma czego! lichy go nie weźmie... Mówmy o czem innem, Cześnikowo... Nieprawdaż, że i dzisiejsze życie nie wesole: dość osamotnienia, kłopotów i nudy? przyznajcie.

BASIA.

To prawda: czasem bywa mi dosyć tęskno.

PETRYŁŁO.

I przyjdzie myśl, że gdyby tak poczciwy mąż, a dziatki, nie ciążyłoby życie.

BASIA.

Pan Bóg mi zabrał męża, a dzieci nie dał! Wola Jego...

PETRYŁŁO.

A! a! inna wola Jego: ja wiem najlepiej, tylko jej pani słuchać nie chcesz, a wolisz tego zausznika! Do-

prawdy, póki asińdzki nie widzę, no to jeszcze, jako-tako człek się durzy, choć markotny; ale zobaczywszy, serce się kraje, stracić taki skarb przez takiego niezdarę!

BASIA.

Mój sąsiedzie, obwiniajże mnie, nie jego.

PETRYŁŁO.

Waćpanią! nigdy, kochana Cześnikowo: choćbyś mnie zabić i poćwiertować kazała, słówka nie pisnę. A! nie wiesz-bo asińdzka jak ją kocham! a gdybyś raczyła spróbować, przekonałabyś się, że com zrazu mówił: iż życie dałbym jej moje, szczerą prawdą. Gdybyście mnie widzieli w domu! ludzi litość bierze.

BASIA (*zmiękczona*).

Czemuż nie przyjedziecie czasem?

PETRYŁŁO.

Po cóż przyjadę? bym gryzł się i martwił widokiem tego skarbu, którego nie posiadam? A pono przyjdzie przypasać szablę i pójść na Tatara, aby choć zginąć prędzej...

BASIA.

A nie mówcież tego!

PETRYŁŁO.

Co serce czuje, język wypowiada! A jeżeli z Rotmistrzem oba nie potrafimy nie...

BASIA (*żywo*).

Cóżeście obmyślili z Rotmistrzem?

PETRYŁŁO (*zmieszany*).

My?... ale nie, nie... myślimy razem ztąd jechać tylko.

BASIA.

Nie jedźcie! i mnie często za wami tęskno!

PETRYŁŁO.

Musimy. Póki była jaka taka, choć słaba nadzieja, mogłem tu bywać; dziś, gdy wszyscy wiedzą, że desperat, że mnie odepchnięto, coby ludzie powiedzieli, żebym się włóczył? Na konkurenta nikt gadać nie śmie, a takiej jak moja przyjaźni nie rozumieją,

BASIA (*czule*).

A! nie gniewajcież się na mnie!

PETRYŁŁO.

(*chwytając jej rękę i rzucając się do nóg*).

Basiu złota! Cześnikowo dobrodziejko! płakać mogę, umrzeć potrafię, a gniewać się na was! gniewać; nie znacie wy tego serca!!

(*Basia rozczulona schyla się ku niemu; w tejże chwili ukazuje się Sołoduha: oboje pomieszaní odstępują żywo od siebie*).

SCENA VI.

BASIA—PETRYŁŁO—SOŁODUCHA.

PETRYŁŁO (*gniewny, na stronie*).

Kaduk go przyniósł, właśnie w porę.

JACEK.

Przepraszam panią...

BASIA.

Czy jest interes jaki?

JACEK.

Chciałem spytać o dyspozycyę. Zatrwożono mnie przybyciem jakiejś księżnej: nie wiem co przygotować.

PETRYŁŁO.

Tak, tak, przyjedzie księżna! (*śmieje się*) Rotmistrz ją tu zaprosił. Warto, byś waćpan też brodę do niej ogolił i pas słucki przywdział.

JACEK.

Co mnie do gości? Wolne żarty panu z uniżonym sługą. Rotmistrz w istocie gości naspraszal, nie pytając jak ich przyjąć będziemy mogli, nie będąc przygotowani do festynów.

BASIA.

Damy sobie rady; jak nas stało: nie ma się co frasować.

PETRYŁŁO.

A ja wotuję najprzód, by pan Jacek brodę ogolił... (*na stronie*) Ale cicho! trzeba uciekać, bo się wygadam. Pójdę tymczasem do ogrodu. (*Wychodzi*).

SCENA VII.

BASIA—P. JACEK SOŁODUCHA.

(*Chwila długiego milczenia*).

JACEK.

A to nasłanie jakieś! Goście! goście! Jeżeli mi wolno zrobić uwagę, pani Cześnikowa nadto jesteś dobrą i powolną. Rotmistrz z końmi, psami, luzakiem, kozakiem, teorbanistą, węgrzynkiem i ciurą; Petryłło samotrzeć także; księżna jeszcze przybędzie ze dworem: gdzie nam to pomieścić i wykarmić! Mniejszaby o koszt, choć się jedna kura nie ostoi na śmiecisku, jak to tu pomieszka; ale spokój zamąca, naprowadzą biedy: kto tam wie, czego nam naniosą! Księżna, i jeszcze niemiecka!

BASIA.

Nie sądzież, panie Jacku, nie wiedząc.

JACEK (*pokornie*).

Ja tylko czynię uwagę, jako wierny sługa, bo się boję, mocno boję, nie o siebie, ale o moją dobrodziejkę, wiedząc jak szumu i hałasu nie lubi, a bez tego się nie obejdzie.

BASIA.

Przecież i dla ludzi żyć potrzeba!

JACEK.

Zapewne, ale jeśli mi wolno uczynić uwagę, najprzód dla Boga.

BASIA.

Jedno drugiemu nie przeszkadza.

JACEK.

Milczę, gdyż dziś niefortunny dla mnie dzień: nie będę miał racyi.

BASIA.

Gniewacie się i wy na mnie, poczciwy panie Jacku?

JACEK (*podnosząc ręce, z oburzeniem*).

Sługa, pokorny sługa, na swą dobrodziejkę?!

BASIA.

Prawdą a Bogiem, jam wam więcej niż wy mnie jesteście winni.

JACEK (*skromnie*).

A nie mówcież tego, Cześnikowo dobrodziejko, słudze swojemu, pokornemu robakowi. Jeżeli zgrzeszę

teraz, darujcie mi, bo choć robak, a muszę usta otworzyć. Strzeżcie się, strzeżcie!

BASIA.

Ja? czego? Nie przestraszajcie mnie!

JACEK (*tajemniczo*).

Niebezpieczeństwo nas otacza! Wszystko to ludzie poczciwi, ale istoty płoche: jużem pani mówił o tem. Kochany, zacny Rotmistrz wodzem tej wojny przeciwko nam; jest już za nim Petryllo, jedzie księżna jakaś. Strzeż nas, Panie!

BASIA.

Petryllo bardzo zacny i serdeczny człowiek.

JACEK.

Kochany, serdeczny, poczciwy, najlepszy! A któż go zna lepiej nademnie? ale impetyk, ale niepomiarkowany! Widzę, niestety, że znowu może wam przyjść myśl nieszczęśliwa małżeństwa: kupicie sobie tyrana, jeśli mi wolno uczynić uwagę.

BASIA (*śmiejąc się*).

On! on tyran?!

JACEK.

Właśnie najgorszy, bo napozór baranek, bo w istocie zacny człowiek, ale nie panuje nad sobą i nie wie nigdy, ani gdzie sam pójdzie, ani dokąd z

sobą poprowadzi. Czułością swą, sercem, może skrepować, związać, niewolnicą uczynić!

BASIA.

Panie Jacku! co mówicie?

JACEK.

Jeżeli mi wolno uczynić uwagę, oto skutki jednego widzenia się z nim: już pani inaczej o nim sądzisz.

BASIA.

Zawszem go tak sądziła.

JACEK (*cofując się*).

Pokorny sługa, milczę. Boję się, by szczerość moja nie zanadto mię uniosła: wolę zamknąć usta, chociaż... Daruj, pani, że zbytek przywiązania ośmielił mnie zadaleko.

BASIA.

Owszem, mów, proszę, wszystko.

JACEK.

Już nie śmiem, rady moje nie będą przyjęte.

BASIA.

Zawsze ich mile słucham: mów waćpan.

JACEK.

Nie nie mam, tylko tę uwagę, którą ośmieliłem się już uczynić: życzylbym, życzył co najrychlej pozbyć

się Rotmistrza, pozbyć się gacha i gości, a wrócić do spokojnego życia.

BASIA (*z westchnieniem*).

Musimy przecie przyjąć tę księżnę.

JACEK.

Wola pani święta! Gdyby ją jednak niezbyt czule przyjmować, domyśliłaby się prędzej odjechać.

BASIA.

Muszę być gościnną.

JACEK.

Znalazłyby się powody przyspieszenia jej wyjazdu. (*ciszey*) Ja sam, gdybyś mi pani rozkazała, mógłbym ich dostarczyć.

BASIA.

Czyż to konieczne?

JACEK.

Czynię uwagę, że nieodzowne.

BASIA.

Pozbyć się ich wszystkich?

JACEK.

Księżnej, Rotmistrza kochanego, szanownego Pe-trylly: wszystkich jutroby ich można pożegnać.

BASIA.

Jeśli widzicie konieczność...

JACEK.

Ja tylko czynię uwagę.

BASIA (*z westchnieniem*).

Róbcie jak wam sumienie doradzi.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

Akt III.

Pokój jak w pierwszym akcie.

SCENA I.

ROTMISTRZ—HURSKA, *przebrana za księżną strój z niemiecka, robiond kwiecisty, puder, muszki, wachlarz i wiele klejnotów.*

KSIEŻNA (*śmiejąc się do lustra*).

Mówże mi waćpan przynajmniej, jak mam grać tę komedya, bo doprawdy nie potrafię.

ROTMISTRZ.

A któżby już umiał komedya grać, jeśli nie kobieta? Przytem pani, a raczej Waszej Księżęcej Mości nie trudno udawać, bo natura ją sama na księżną i panią stworzyła. Radzić się mnie, to tak właśnie jak nieboszczyk hetman, który przed batalią zawsze wołał Mrocza i pytał go jak wojsko ustanowić, a Mroczek całe życie był pijany i słowa rzec nie mógł, tylko

głową kiwał (bo mu się sama trzęsła), a hetman brał to za potakiwanie.

KSIEŻNA.

Nie pochlebiaj mi waćpan: ja tego nie lubię.

ROTMISTRZ.

Szczera prawda, nie żadne pochlebstwo. Wy jejmoście domyślicie się w mig, czego my pół roku szukać często musimy nim dojdziem. O co chodzi? o to chodzi, żeby owego pana Jacka rozkochać i przywieźć do oświadczyn. Hołysz, prawda, nie łatwo ośmieli się do księżnej, ale w tem Waszej Księżęcej Mości sztuka.

KSIEŻNA (*uśmiechając się*).

E! zbałamucić? Ja trochę taki potrafię.

ROTMISTRZ (*z ukłonem*).

Powtóre, dozwolisz Wasza Księżęca Mość, żebyśmy się do niej wszyscy hurtem zalecali: ja pierwszy.

KSIEŻNA.

Jużeś trochę począł, swawolniku; ale wiem, że to żarty.

ROTMISTRZ.

Muszę moję pannę do zazdrości przywieść. Drugi stanie w zawody Petryłło, sąsiad, wieśniak, niepozorny, ale poczciwy z kośćcami, bo ten się stara właśnie o moję siostrę.

KSIEŻNA.

A i tej potrzeba napędzić zazdrości?

ROTMISTRZ.

Koniecznien. Z niemi, to tak jak z dziećmi: nie jesz, to oddam drugiemu, aż w końcu namówi się i weźmie łyżkę. Trzeci, ten pan Jacek, najtrudniejszy: bo do niego wypadnie czy okiem, czy słowem, pierwszy krok zrobić.

KSIEŻNA.

Dalipan, pękne ze śmiechu!. Doskonały sprawiliście mięsopust! Ale gdy mi przyjdzie mówić o sobie, cóż powiem?

ROTMISTRZ.

To, com już mówił: że jesteście wdową po księciu Bamberlink; że macie miliony, miasta, wioski; że wam stan wdowi dokuczył, i że gotowibyście wziąć bodaj ubogiego, aby gospodarnego i poczciwego człowieka. A! potraficie i bezemnie.

KSIEŻNA.

A jeśli się wyda kłamstwo?

ROTMISTRZ.

Nie może to być, chybabyście sami zapomnieli. Ludzi powyuczałem jak pacierza: żaden inaczej nie piśnie.

KSIEŻNA.

A siostra waszmości?

ROTMISTRZ.

Ta o niczem wiedzieć nie powinna: przed nią jesteście księżną. Ale idźcież się bliżej poznać, i weźmijcie ją odrazu za serce, tak jak wy to umiecie. Ktoś idzie!

(Otwiera drzwi w prawo: księżna wchodzi. Rotmistrz wraca i застаје pana Jacka, który wsunął się z lewej strony.)

SCENA II.

ROTMISTRZ—JACEK.

JACEK.

Kochanego Rotmistrza! dzień dobry!

ROTMISTRZ.

Dzień dobry ci, panie Jacku! Witasz mnie jakbyś się stęsknił.

JACEK.

Mamy tedy gości...

ROTMISTRZ *(udając zakłopotanego)*.

Szkuła się rozbiła, prawda? Dla was i dla siostry to rzecz nie wielce przyjemna, i kłopotliwe i kosztu niemało!

JACEK.

Mówicie świętą prawdę! Ale wy sami...

ROTMISTRZ.

Jam nie nie winien. Gdybyśmy Niemcowej gościny odmówili, krajbyśmy zhańbili. *(poufnie)* Przytem ona bardzo dobrze u dworu położona, gdyż, w sekrecie ci powiem, sam król kochał się w niej półtora dnia podobno.

JACEK.

Jak na Sasa, to nawet długo.

ROTMISTRZ.

Dziwowali się też i zazdrościli, że go tak przetrzymała! Ale zobaczycie, to kobieta dobra, niezawadna, przylepka! Nie widzieliście jej jeszcze??

JACEK.

Nie miałem szczęścia

ROTMISTRZ.

Młoda, śliczna, krew z mlekiem, trochę zalotna.

(Jacek splotuca)

ROTMISTRZ.

Nie brzydź się, rybeńko złota; ty, widzę, jesteś jak mój stary ogar, co byle sztukamięse na stół podali zaraz ślini. Przekonasz się, że wdówka miła i warta grzechu, a bogata!

JACEK.

Bogata! bardzo?

ROTMISTRZ.

Mówią, że u niej w zamku Bamberlink w Saxonii, gdy przyszło robić inwentarz po śmierci męża, dukaty korcem mierzyli, i było ich (koniuszy mi się przysięgał) trzydzieści sześć korcy, ćwierci trzy, garncy pięć, kwart dwie i pół, a kamieni drogich pełna izba! Pomimo to, taka sobie prosta, dobrodusznna, że powiada, iż nie pójdzie tylko za takiego, coby nie nie miał, choćby jej bez koszuli wziąć go przyszło. Prawda, że nieboszczyk ją katował!

JACEK (*kiwa głową*).

A na tym, to się ona chce odegrać?

ROTMISTRZ.

Łagodna jak baranek, dziwnej dobroci...

JACEK.

I dziwna historia!

ROTMISTRZ.

Bardzo dziwna! Dała sobie słowo nie iść, tylko za ubogiego, to jeszcze nic; ale mi sto razy powtarzała, ona i jej koniuszy, że młodego nie chce, pięknego nie żąda mężczyzny, byle człek cichy, potulny, a rządny, stateczny i bogobojny. Widać jej o to chodzi, żeby majątek utrzymała.

JACEK.

No, toć sobie łatwo wyszuka, bo gołych na świecie przepaść.

ROTMISTRZ.

Jednakże zważ, że dotąd przebiera, przebiera i dobrać sobie nie może. Są ludzie, którzy lubią ulegalki: i ona mówi, że lubi bladych, podstarzałych, zawied-
łych.

JACEK.

Osobliwsza kobieta! gdyby nie Niemka, tobym nie wierzył.

ROTMISTRZ.

Chce przytem, aby jej przyszły był obyczajów skromnych, pobożny, cichy: a to nie tak łatwo się znajdzie.

JACEK.

Dobrzeby zrobiła, żeby go sobie, nie tracąc u nas czasu, szukała gdzieindziej i peregrynowała dalej. a nie zasiadła tu, uchowaj Boże! na dłużej.

ROTMISTRZ.

To prawda, ja sam się tego boję.

JACEK.

I kłopot, i koszt niemały!

ROTMISTRZ.

(*wzdychając, z udanym smutkiem*).

Kłopot zwłaszcza dla Basi, której to życie jej spokojne zamąci.

JACEK.

Święte słowa, Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Chociaż się one pogodzą.

JACEK.

Wątpię!

ROTMISTRZ.

Nie ma jak różne charaktery, najpewniej do siebie przystaną: ot, na przykład, my z waćpanem.

JACEK.

To prawda; ale pani Cześnikowa?

ROTMISTRZ.

Zbyt dobra, żeby się na księżnej nie poznała. Zresztą, powiem ci, że gdyby się był król dowiedział, że ona tu w miasteczku chora leżała, a nikt jej nie prosił, okolicęby całą Sasi zjedli.

JACEK.

Być może; ale oni nas i tak nadkaszają!

ROTMISTRZ.

Lepiej że księżnę, niż rajtaryą przyjmować.

JACEK.

Może, chociaż kto to wie! Przecież, Rotmistrzu, przez miłość dla siostry postarajcie się ją co rychlej wyprawić, nie wstrzymujcie, nie zabawiajcie, nie wymyślajcie, jeśli mi wolno uczynić uwagę.

ROTMISTRZ.

Tobie wolno czynić uwagi, a nam ich nie słuchać! Ale żart na bok, ja sam jestem tej chęci, chciałbym sobie spocząć z wami, pogawędzić, powzdychać, a to kłopot niepotrzebny... Ale cyt, czekaj, idą tu obie, przypatrz się jej, nie uciekaj... (*przytrzymuje go*).

SCENA III.

CIŻ—BASIA—KSIĘŻNA.

KSIĘŻNA (*wchodząc*).

Jakżem wdzięczna panu Rotmistrzowi Kaniowie, że mi tu u was spocząć doradził i gościnę u was wprosił... Odetchnąwszy tą ciszą i spokojem tak się czuję lepiej, tak lepiej... że, gdyby skrzypki, poszłabym tańcować.

JACEK (*na stronie*).

Ona nigdy chyba nie chorowała, wygląda jak jabłko.

BASIA.

Niewymownie mnie to cieszy...

ROTMISTRZ (*z ukłonem*).

Siostra moja najszcześliwsza, że dom jej przypadł do smaku Waszej Książęcej Mości (*na stronie cicho*). Patrzo pani na tego trutnia, oto tu stoi.

KSIEŻNA (*tak samo*).

Widzę go... (*głośno*) Boję się żebym waćpaństwu nie przyczyniła kłopotu, ale tak mi tu dobrze!

BASIA.

Kłopotu! żadnego nie ma!!

ROTMISTRZ (*z ukłonem*).

Jest tylko satysfakcya i wdzięczność...

JACEK (*na stronie*).

Nacóż ją tak bardzo za poły trzymają!

KSIEŻNA.

A! tak to miło odpocząć na wsi, po długiej nużącej podróży (*spogląda ku panu Jackowi pytając półgłosem Rotmistrza*). Któż jest ten pan, tak pięknych i wyrazistych rysów twarzy?

ROTMISTRZ.

Godny i zacny, (*do Sołoduchy*) chodź waćpan tu bliżej,—przyjaciel domu, jegomość pan Jacek Sołoducha pisarzowiczowicz oszmiański...

(*Jacek się kłania*).

KSIEŻNA.

Imię waćpana przypomina mi młodość moją: u nas jadają sołoduchę! Był też u książąt Ostrogskich jeden tego imienia, pewnie krewny jego?...

JACEK (*mocno zmieszany*).

Nie wiem, mam wielką obfitość krewnych... pieczętujemy się kółkiem nakształt obwarzanka...

KSIEŻNA.

Ci sami! niezawodnie... Rysy mi nawet przypominają... ale o tem zamilczę...

JACEK (*klania się*).

ROTMISTRZ (*poważnie*).

Nad pana Jacka nie mamy lepszego przyjaciela, ani znam godniejszego człowieka; głowa, serce, (*cicho*) ręce... (*kończy mruczeniem, które uchodzi za pochwałę*).

JACEK (*klania się*).

Panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Wstrzymuję się, aby cię nie rumienić, ale dodam, że to jest egzemplarz poświęcenia przyjacielskiego. Wystaw sobie Księżno dobrodziejko, że on tu w domu dziesięć razy jeden: marszałek, komisarz, adwokat, doradca, kassyer, koniuszy, łowczy, i ręczę, gdyby go poprosić.. pokojeby zamiatał!

JACEK (*zmieszany*).

Ale przestańże waćpan, panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Ja jak się rozpędzę, nadzwyczaj mi trudno się wstrzymać.

BASIA.

Dziękuję ci, bracie; byłam pewną, że mu oddasz sprawiedliwość.

KSIEŻNA.

Drogi to dar, taki przyjaciel domu! taki doradca i dobrodziej; a! gdy pomyślę, jak trudno podobnego znaleźć na świecie, zazdroszczę pani!

BASIA (*żywo*).

A poznawszy go bliżej...

JACEK (*do Rotmistrza*).

Wcale przyjemna...

ROTMISTRZ (*do Jacka cicho*).

Mówilem ci, anioł kobieta... Zobaczysz jak się lepiej poznacie (*podchodzi do siostry, rozmawia chwilę i wprowadza ją powoli w prawo*).

SCENA IV.

KSIEŻNA *na kanapie* — SOŁODUCHA *stoi*.

—

KSIEŻNA.

(*długo patrzy na niego... Jacek spuszcza oczy i składa ręce pokornie*).

To osobliwsza rzecz, jak mi rysy waćpana kogoś... kogoś przypominają.

JACEK (*powoli z ukłonem*).

Za wielkie to sobie poczytuję szczęście, że mam honor przypominać kogoś Waszej Książęcej Mości!

KSIEŻNA.

A! i bardzo! Był to człowiek przyjemny wielce, za którego miałam początkowo iść za mąż, (*wzdycha*) ale zmarł młodo, a ja...

JACEK (*prostując się na stronie*).

A nie wódź nas na pokuszenie! Osobliwsza kobieta!

KSIEŻNA (*do siebie, ale głośno*).

Nadzwyczajne podobieństwo! postawa, twarz, głos, ruch... A! jak mile we mnie obudzają sentymenta.

JACEK (*na stronie*).

Co ja tu pocznę?

KSIEŻNA (*wzdychając*).

Przybliże się panie Pisarzewiczu, i chciej na chwilkę przysiąść koło mnie: tu, bliżej (*wskazuje mu krzesło*).

(*Jacek kłania się, miesza, próbuje z kolei trzech krzesełek coraz bliższych i w końcu siada*).

KSIEŻNA.

To był bardzo miły, młody człowiek, i pięć lat tak po nim płakałam, żem na rok potem wzrok straciła... ale poszedłszy za mąż, odzyskałam.

JACEK (*skromnie*).

Prawdziwie, Wasza Książęca Mość napelniasz mnie konfuzyą: gdzieżbym ja do tak dystygowanego kawalera miał być podobnym.

KSIEŻNA (*smutnie*).

Przepraszam, jeżeli zanadto wydam mu się szczerą, to wada moja... a w tej chwili wspomnienie lat młodych, sentyment! W naszym biednym stanie wdowim mało jest chwil weselszych; każdą się chwytą skwapliwie. Pozwól mi waćpan na siebie popatrzeć.

JACEK (*spuszcza oczy chwila milczenia—na stronie*).

Ot tom wpadł w jamę!

KSIEŻNA,

Nie byłeś waćpan żonaty nigdy?

JACEK (*żywo*).

Niech Bóg broni, jako żywo, Mościa Książno!

KSIEŻNA.

To szkoda, mogłabym zaręczyć, że waćpan będziesz bardzo dobrym mężem...

JACEK.

Nie miałem wcale powołania.

KSIEŻNA.

Widać, żeś waćpan nigdy w życiu nie trafił na osobę, któraby mu się podobiała.

JACEK.

Bronilem się pokusom wszelkim.

KSIEŻNA.

Dziwna rzecz, że kobiety dozwoliły waćpanu pozostać tak, i nie starały się serce jego pozyskać. Wydziwić się temu nie mogę, tak miły i pełen przymiotów człowiek!

JACEK (*kłania się*).

Wasza Książęca Mość zbyt jesteś łaskawą!

KSIEŻNA.

Bez pochlebstwa, waćpan mi się tak podobasz... ale to tak, że bardzobym go bliżej poznać sobie życzyła.

JACEK.

Za prawdziwy to sobie mam zaszczyt, (*na stronie*) jeszcze mi się nie też podobnego w życiu nie trafiło. (*głośno*) Wasza Książęca Mość napelniasz mnie, niegodnego sługę swego, wstydem: gdzieby tak mizerne, jak ja stworzenie, miało zwrócić wejrzenie dostojne Waszej Książęcej Mości.

KSIEŻNA.

Na świecie (*wzdycha*) dziwne-bo się trafiają sympaty... osobliwsze od pierwszego wejrzenia pociągł... Znam naprzykład kanclerzynę...

JACEK.

Kanclerzynę!

KSIEŻNA.

Kancelerzynę Kurtenbach, Saxonkę prawda, która ujrawszy na ulicy garbatego jednego, jak się potem pokazało, lokaja, tak się w nim rozmiłowała, że za niego poszła.

JACEK.

Istotnie dziwna to była sympatya.

KSIEŻNA.

Waćpan przecie nie jesteś garbaty i nie lokaj... dlaczegóżbyś się podobać nie miał... A waćpan nie czujesz też ku mnie trochę sympatyj?

JACEK (*przestraszony*).

Ja! a! Mościa Książno (*na stronie*) czy oszalała! (*głośno*) Gdyby nawet tak było, nie śmiałbym!

KSIEŻNA.

To przyjdzie później, bo tego rodzaju sympatyje są zawsze wzajemne.

JACEK (*na stronie*).

Choć uciekać.

KSIEŻNA.

Waćpan masz familią?

JACEK.

Nikogo na świecie: jestem zupełnym sierotą.

KSIEŻNA.

Doprawdy? to bardzo przyjemnie nie mieć krewnych; prawdziwie, jeszcze mi się waćpan przez to bardziej podobasz.

JACEK

Ale familia z której pochodzę szlachecka.

KSIEŻNA.

I nie wątpię, że starożytna...

JACEK.

Pierwszy Sołoducha przybył na Litwę z Palemonem i fundował miasto Sołoduchówkę, w późniejszych czasach przezwane Oszmianą; mamy to w papierach...

KSIEŻNA.

Z fizyognomii znać dystygowany ród waćpana... Ostatni z rodu! prawdziwie, nie uwierzysz pan jak mnie to cieszy!

JACEK.

Jakto? żem ostatni?

KSIEŻNA.

Nie, ale żeś sam jeden; doświadczyłam na sobie, że najlepiej jest nie mieć familii; człowiek swobodny jak ptak.

JACEK. (*sentencyonalnie*)

A cały ród ludzki składa jedną wielką familią.

KSIEŻNA.

Z wyjątkiem szalbierzów i trutniów.

JACEK.

Naturalnie.

KSIEŻNA

Jakże się waćpanu wiodło w życiu? byłeś szczęśliwy?

JACEK (*wzdychając*).

Nie pochwałę się tem: los mnie prześladował.

KSIEŻNA (*smutno*).

Jak zawsze sprawiedliwych nęka: to i w Piśmie świętem stoi.

JACEK.

Pierwszy to dom, w którym nieco spokoju zażyć mi się udało.

KSIEŻNA.

Zawsze w końcu Bóg nagradza... Waćpan tu zajmujesz się?...

JACEK (*żywo*).

Wszystkiem generalnie i każdą rzeczą, która do mnie należy i nie należy poszczególnie; pracować lubię, Mościa Księżno, i prawdę rzekłszy, umiem.

KSIEŻNA.

Nie ciężko tu waćpanu?

JACEK (*pokornie*).

W życiu ludzkim potrzeba umieć i ciężary dźwigać.

KSIEŻNA.

Cóż to za szczęście tej wdowy, że sobie tak skutecznego przyjaciela znalazła: to dar Boży, taki przyjaciel.

JACEK.

Wasza Książęca Mość znowu zawstydzasz pokornego sługę, rad jestem, że za kawał chleba mogę ludziom być użytecznym...

KSIEŻNA.

Wysoka bezinteresowność! wszystkie cnoty! Nie mówże waćpan więcej, abyś mojej nie budził zazdrości.

JACEK (*na stronie*).

Jaka przyjemna kobieta! Ktoby się domyślił, że niemiecka księżna! ani znaku!.. Dalipan to specjal taka wdowa!

KSIEŻNA.

Ale może waćpan nudzisz się ze mną, a tu nas opuszczono we dwoje, czemum ja bardzo rada, bo miłszego nie mogłam sobie dobrać towarzystwa. Jest tu ogród, panie Jacku?

JACEK.

Stary, szpalerowy.

KSIEŻNA.

Możebyśmy się po nim przeszli; chciałabym obszerniej z panem pomówić i poradzić się o administracyą mojego księstwa...

JACEK (*zmieszany*).

Po ogrodzie? sami? my?... to jest... ja bardzo chętnie, ale czyto będzie przyzwaitem dla Waszej Księżęcej Mości?

KSIEŻNA (*śmiejąc się*).

Dla mnie? dla mnie wszystko jest przyzwaito, co ja chcę, a nieprzyzwaito, ktoby mi śmiał zaprzeczyć postąpić według mojej woli. Chcę użyć powietrza: daj mi rękę i pójdziemy do ogrodu.

JACEK (*na stronie*).

Herod baba, ale bardzo przyjemna! Jakie oczy! (*głośno*) Służę Waszej Księżęcej Mości! (*na stronie*) Jednak jak mnie z nią tak zobaczą?!

(*Wychodzą. Grześ wchodzi drzwiami drugimi i patrzy długo za niemi*).

SCENA IX.

GRZEŚ *sam, zamyślony.*

Sasafras! sasafras! niepojęte dziwy! Wzięli się pod ręce i poszli do ogrodu. Księżna! piękna to jakaś księżna, daj go katu, kiedy zaraz ten specyjalik tak

jej przypadł do smaku, że go sobie przywłaszczyła! Swoją swojego wszędzie dopyta. Ależ winszuję dobrego gustu! Chyba to dlatego, że Niemka, to jej się ten śledź holenderski tak podobał. A! gdyby go też za sobą raczyła wziąć do Saxonii, obchodzilibym ten dzień uroczystości całe życie, albobym go zapościł! Ale gdzie tam, prędko ona pozna pana Jacka, że z nim zabawa niebezpieczna. Sasafras!

SCENA VI.

GRZEŚ—ROTMISTRZ.

—
ROTMISTRZ.

Jakie hasło? co słychać?

GRZEŚ.

Awantury, Rotmistrzu! Przyjechała jakaś niemiecka księżna, sasafras! niewiele myśląc, wzięła sobie pana Jacka poufaluć pod rączkę, i zaprowadziła się z nim do ogrodu.

ROTMISTRZ.

Jakto? księżna z panem Jackiem poszli do ogrodu, nos w nos, oko w oko? A to śliczne mi rzeczy powiadasz!

GRZEŚ (*z przerażeniem*).

Na moje własne oczy widziałem; a to okazuje jawnie i dotykalnie jaki to człowiek niebezpieczny: ledwie go zobaczyła, już ją skonwinkował!

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

O! Herod baba!

GRZEŚ.

Baba jak baba, ale ten jegomość to ptaszek: on wszystkiemu winien! A pan Rotmistrz, co byś miał na to radzić? Śmiejesz się.

ROTMISTRZ.

Cicho, bądź spokojny!

GRZEŚ.

Ależ pan widzisz, co to za czarnoksiężnik! Ot, tak i naszą panią opanował. Jego trzeba koniecznie ztąd wyparować.

ROTMISTRZ.

Cicho, cicho, ot i Basia!

SCENA VII.

ROTMISTRZ—BASIA—GRZEŚ.

—

BASIA.

Gdzież się księżna podziała?

ROTMISTRZ.

Gorąco jej tu było: poszła się z panem Jackiem do ogrodu ochłodzić.

BASIA (*zdziwiona*).

Z panem Jackiem? nie może być!

ROTMISTRZ.

Takei jest, swój swego zaraz pozna: on pobożny, ona pobożna; on skromny, ona skromna; on poczciwy, ona zaćna: podobali się sobie; a że pan Jacek rezolutny i śmiały, wziął ją pod rękę i poszli.

BASIA.

Jużeż z miny trudnoby się jej tak podobał, a poznać go nie miała czasu.

ROTMISTRZ.

Dobry ma nos i dużo przeczucia...

BASIA.

Przyznam się, że to dziwne postępowanie mnie zastrasza. To jakaś osobliwsza kobieta!

GRZES (*zdziwiony*).

I ja tak mówię, z pozwoleniem, sasafraś!

ROTMISTRZ.

A mnie to ani dziwi, ani straszy: ja ją lepiej znam od was. Pelen otwartości charakter podobał się: czemu nie miała mu tego okazać? Nudzić się nie lubi: toć i mnie tak w drodze w niewolę zabrała.

BASIA.

Przyznam się że nie wiem, jak ją tu zajmujemy?

ROTMISTRZ.

Na to my jesteśmy z Petryllą: zabawimy ją we dwojgu.

BASIA.

Czy i Petryllo będzie?

ROTMISTRZ.

Musiałem go wziąć w sukurs, bobym sam księżnie nie wystarczył.

BASIA.

Zaprosiłeś go?

ROTMISTRZ.

Z ukosa.

BASIA.

Bardzo mu zawsze rada.

ROTMISTRZ.

Dobrze robisz, bo to zacny człowiek. Idź, Grzesiu, każ tam nakrywać.

(Grześ wychodzi).

Tak, tak, siostruniu kochana; a najlepiejbyś zrobiła, żebyś odwołując niebaczne słówko, podała mu rączkę i została jego żoną. Z serca życzę!

BASIA.

Nie mogę tego uczynić, nie mogę!

ROTMISTRZ.

Dlaczego?

BASIA.

Ja i Marta dałyśmy sobie słowo.

ROTMISTRZ.

Dałyście sobie i możecie go sobie odebrać. Słowo to taka rzecz, że ci jej nie zabraknie; ani poczujesz. Za króla Kazimierza był szlachcie, który dał sobie słowo, że się obwiesi, jeśli mu wdowa, o którą się starał, odmówi: pojechał, dostał grochowy wieńiec; po drodze schwycili przyjaciele, do panny zawieźli i ożenili. Pytają go potem; „a słowo?“ Rzecz na to: „obwiesiłem się na szyi mojej żony, a cóż chcecie?“ I nikt na to nic nie rzekł, bo miał rozum.

BASIA *(z uśmiechem)*.

Ja się wieszać, ani iść za mąż też nie myślę. Ty to wszystko, braciszku, bardzo sobie po żołniersku bierzesz.

ROTMISTRZ.

Jak kto dźwignie, tak bierze. Prawda, że żołnierski mam rozum, ale i tym nie gardzić. Ale poczekawszy, może cię ta księżna nawróci, kiedy już i pana Jacka zaczęła na swoje wiare przerabiać.

BASIA.

Tegom ciekawa!

ROTMISTRZ.

A gdyby się jej udało?

BASIA (*śmiejąc się*).

A! to jużbym i ja zmieniła postanowienie.

ROTMISTRZ (*zbliżając się*).

Dobrze; rozmówmyż się wyraźniej: jeśli pan Jacek oświadczy się księżnie, ty przyjmiesz Petryllę?

BASIA (*śmiejąc się*).

A! w takim razie mogę obiecać.

ROTMISTRZ.

Słowo?

BASIA (*ciągle się śmiejąc*).

Najmocniejsze!

ROTMISTRZ (*zacierając ręce*).

Słowo się tedy rzekło, siostruniu, i cicho!

BASIA.

Jaki ty jesteś zabawny!

ROTMISTRZ.

Ja zabawny, ale i wszyscy się tu podobno doskonale zabawimy z łaski księżnej jejmości. Mam waścine słówko, pani siostro; mam słówko!

BASIA.

Masz je, masz; nie odwołuję.

SCENA VIII.

CIŻ — PETRYLLA.

ROTMISTRZ.

O wilku mowa, a wilk za płotem! Dobrze, że się na apel stawiasz: mamy gości, będziem się umizgać okrutnie. Księżna piękna i powolna; a kiedy Basia dała sobie słowo zostać mniszką wraz z panną Martą, my musimy uciec się aż do konsolacyi gdzieindziej.

BASIA (*trąca go, pocichu*).

Co pleciesz, bracie?

ROTMISTRZ.

Szczera prawdę! A cóż, nie jest tak? Ciebie zbałamucil pan Jacek, ty zbałamucilaś pannę Martę: musimy więc odegrywać się gdzieindziej. Więc, kochany sąsiedzie, darmo już nie zerkaj na Basię, bo to nie dla ciebie kąsek, i chodźmy się księżnej zalecać na wypróżdki. Wdówka, bogata... weźmiemy się oba do niej: zobaczymy kogo wybierze? Tymczasem na przekąskę wzięła pana Jacka!

BASIA.

Ej! Rotmistrzu! godziź się to tak, godzi z biednych kobiet żarty stroić?

ROTMISTRZ.

A oneż z nas nie stroją żartów? Chciałybyście, żebyśmy odprawieni z grochem, wciąż taki do was tylko wzdychali; ale to nie może być: nieprawdaż, Petryllo?

PETRYLLO.

A! może być, Rotmistrzu! Ja przynajmniej zostaję przy starym obyczaju.

ROTMISTRZ (*ciągąc go*).

Ale-no, chodź tylko, księżnę zobacz; inaczej mi zaśpiewasz.

PETRYLLO.

Nie pilnego. Pani Cześnikowo dobrodziejko, proszę tego nie kłaść na mój rachunek.

BASIA.

Rachunków z sobą nie mamy. (*woła*) Marto! Marto! chodź-no w pomoc, bo sobie sama z Rotmistrzem nie dam rady!

(*Wchodzi Marta ze drzwi prawych*).

SCENA IX.

C I Ź — P. M A R T A.

BASIA (*do Rotmistrza*).

Powtórzże-no przy Marcie, co proponowałeś sąsiadowi.

P. MARTA.

Co takiego?

ROTMISTRZ.

Zaraz się panna Łowczanka dowie, bo jeśli głupstwo robię, mam to do siebie, że się chętnie do niego przyznaję. Otóż rzecz taka: panieście naszym afektem wzgardziły, więc ja, Petryllo, p. Jacek, wszyscy hurmem poczynamy się do księżnej zalecać. Pan Jacek nawet, jako najskorszy, już skutecznie się jął dzieła, i jejmość do ogrodu poprowadził; gdy powrócą, kolej na nas!

P. MARTA (*rusza ramionami*).

Cóż dziwnego, że u waćpanów nowe siteczko na kołku?

ROTMISTRZ.

E! byłoby i stare, gdyby samo nie zleciało.

PETRYLLO.

Dobrze waćpan mówisz: myśmy nie zrzucili sitka, samo się wyrwało.

P. MARTA.

A nam to co szkodzi, że waćpanowie do księżnej zalecać się będącie? Ona się pośmieje, my także, i koniec.

ROTMISTRZ.

A jak którego z nas sobie wybierze?

P. MARTA.

Niech go sobie weźmie!

PETRYŁŁO (*do Rotmistrza*).

Nie nastraszyła się wcale, Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Jeszcze-bo też nie ma nic; zobaczymy dalej, tylko
sza! To strachy na Lachy. Ale ty, Basieczku, po-
winnabyś już wyzwolić i pana Jacka i księżną
jejmość, a pójść po nią do ogrodu, żeby na pierwsze
danie nie zanadto znowu miała tego specyału. Panu
Jackowi też gotowo zabraknąć wątku do rozmowy.

BASIA.

Kiedy się nas pozbywają, chodźmyż doprawdy.
(*Wychodzą z Martą do ogrodu drzwiami w głębi*).

ROTMISTRZ

A my dokąd?

PETRYŁŁO.

Ja za Cześnikową, trochę się przejdę po ogrodzie.

ROTMISTRZ.

Zaraz i ja was napędzę, ale muszę trochę dać gębie
spocząć, bo mi się wystrzepiła od wczorajszego dnia.

(*Petryłło odchodzi, Rotmistrz siada w krześle i wy-
ciąga się; po chwili wchodzi p. Jacek ocierając pot
z czoła, drzwiami z głębi*).

SCENA X.

ROTMISTRZ—P. JACEK.

JACEK.

A! pan Rotmistrz kochany tu!

ROTMISTRZ.

A waćpan gdzieżeś Księżnę porzucił?

JACEK.

To ona mnie porzuciła... Zobaczywszy te panie,
poszła do nich.

ROTMISTRZ.

No! prawda, Heród baba! Waćpan zawsze masz
słuszność: przeczułeś, że nam z nią będzie niewy-
godnie! Gwałtuby jej się ztąd pozbyć! Przekłeta
Niemka!

JACEK.

Hm! Już to ona nie jest Niemka, kochany Rotmi-
strzu!

ROTMISTRZ.

Niemka czy nie... ale mi się nie podoba; chwy-
ciła saskich obyczajów.

JACEK.

Niewiele uważałem tego, kochany Rotmistrzu.

ROTMISTRZ.

Obcesowa... natrętna!

JACEK.

To owszem prostota i otwartość, jeśli mogę uczynić tę uwagę...

ROTMISTRZ.

Pocziwa z waszeci dusza, wszystko starasz się uniewinnić, a ja taki, choć ją tu sam wprowadziłem, powiadam, że utrapienie mieć z nią będziemy; pozbyćby się nam jej co rychlej.

JACEK.

Ja tam nie wiem, jak się waćpaństwu podoba... ale znowu...

ROTMISTRZ.

Co znowu?

JACEK (*jękając się*).

Obca osoba, księżna, respektby jakiś mieć należało dla stanu i położenia... przytem chora... Zresztą gdyby i zabawiła cokolwiek, cóż to szkodzi?... Prawa gościnności są święte.

ROTMISTRZ.

Tym sposobem swierszczów i myszy nie godziłoby się pozbywać z domu...

JACEK.

Sądzę też, jeśli mi wolno uczynić uwagę, że pani Cześnikowej przykroby było, gdyby tak prędko ztąd odjechała.

ROTMISTRZ (*na stronie*).

Już go ma: dobrze (*głośno*) Ale bestya Niemka, niczego; prawda p. Jacku?

JACEK.

Jużciż... zapewne... tak... (*spluwa*).

ROTMISTRZ.

Młoda: widziałem metrykę u koniuszego, lat 20, miesięcy sześć, tygodni dwa, dni cztery; ładna, nie zaprzeczysz; bogata jak Krezus: ot to kasek, mosanie, komu się to dostanie!

JACEK (*obojętnie*).

Wszystko to marności światowe!

ROTMISTRZ.

Wszystko marności, prawda; ale nim to do licha zmarnieje, wartoby żeby się kto pocieszył... Ja pierwszy myślę się dobrze wziąć do Jejmości.

JACEK (*zdziwiony*).

Kto? kochany Rotmistrzu! waćpan? waćpan?

ROTMISTRZ.

Ja! albo co?

JACEK.

A panna Marta?

ROTMISTRZ.

Kiedy mnie nie chce...

JACEK (*powoli*).

Tak! pono postanowienie uczyniła nie iść za mąż... tylko, że to te postanowienia bywają odmienne. Myśl wspaniała nie ugiąć się pod jarzmem małżeńskim, ale czy w niej dotrwa?

ROTMISTRZ.

Trudnoż mnie dwadzieścia lat czekać, czy wiatr nie powieje inny...

JACEK.

Widać, że waćpan nie masz prawdziwego przywiązania.

ROTMISTRZ.

No! ja jak ja: może się i oprę pokusie; ale co Petryłło, któremu Cześnikowa formalnego dała odkosza, ten ręczę, że pójdzie w konkury, i spodoba się jej pewnie.

JACEK.

Sądzisz pan??

ROTMISTRZ.

A cóż? charaktery dobrane: oboje weseli, trzpioty...

JACEK.

Jeśli mi wolno uczynić uwagę, Księżna jest osobą wcale poważną i charakteru surowszego niż się zdaje.

ROTMISTRZ.

E! to ci się tak zrazu wydało: niechno skrzypki zagrają... Właśnie Petryłło umyślił ją prosić do siebie do Zablocia, i nas wszystkich także; będziemy mogli rozruszać się trochę.

JACEK (*żywo*).

Jakto? już ją widział? już zamyśla?

ROTMISTRZ (*tajemniczo*).

Miedzy nami mówiąc, zdaje się, że go zajęła mocno.

JACEK.

Płochy człowiek: zawszem go takim sądził.

ROTMISTRZ.

Czegóż będzie znowu czekał; nasze kobiety nie chcą słuchać nawet o małżeństwie, próżnobyśmy wyglądali, kiedy się tak uparły: trzeba szukać gdzieindziej szczęścia.

JACEK.

Albo i biedy, jeśli wolno uczynić uwagę; że też panowie nie myślicie o czem innem, tylko o niewiastach.

ROTMISTRZ.

Ba! żebyśmy to tak byli święci ludzie jak waćpan, co Bożej woli nie czujesz, a szatana odpędzasz dyscypliną! Ale Petryłło hreczkosiej, nudno mu w domu, ja konfederat poddeptany; obu nam żonyby się przydały: o czymże myśleć mamy jeśli nie o kobiecietach.

JACEK.

Już ciż jednej Księżnej na wszystkich zamało.

ROTMISTRZ.

Niech sobie wybiera; *(po chwili)* ale i waćpan coś u niej w łaskach *(uśmiecha się)*.

JACEK *(zmieszany)*.

Ja ale gdzież tam!

ROTMISTRZ *(grożąc mu palcem)*.

Łatwo to było dostrzedz; co zaszew! Ta kobieta i anachoretęby obalamucila; a do waćpana zaraz jakąś uczuła sympatyą: byłbyś z kamienia, żebyś jej się nie wywzajemnił... Ot, kto wie, czy nas jeszcze nie odsadzisz.

JACEK.

Ale, cóż znowu! z kądże posądzenie?

ROTMISTRZ.

Wygadała się pono, żeś się jej waszmość podobał.

JACEK *(spuszcza oczy)*.

Ale nie! ale nie! gdzieżby się wygadała!

ROTMISTRZ *(śmiejąc się)*.

A toby było pocieszenie.

JACEK *(spluwa)*.

Tfu! bałamuctwo!

ROTMISTRZ.

Zostaw to nam dwom, dla ciebie to nie zdrowa potrawa: tobie z tego nic... Kiedyś z Męciszewskim w Sokalu nad Bugiem przynieśli nam węgorza, a trzeba wiedzieć, że oba go pasyami lubimy. Mój człowiek go przyrządził zawieszisto z sosem i ro-dzenkami, aż miło; podają na stół: wtem utrapienie przynosi Konarskiego, a nam aż ślinka ciecze do węgorza, którego tyle co na dwóch. Męciszewski wpadł na concept: jak zaczął prawić o tych, co się węgorzem potruli i pomarli, Konarski ani ruszył, a myśmy we dwóch zjedli i zdrowi byli. Nie jedźże waś naszego węgorza *(odchodzi śmiejąc się)*.

SCENA XI.

P. J A C E K *sam*.

Nie mogę się jeszcze opamiętać, i wypadaloby sobie uczynić niektóre uwagi. . Księżna wyrażnie,

jasno i oczywiście daje mi do zrozumienia, że jej wpadł w oko, z powodu tego osobliwszego podobieństwa do nieboszczyka jej konkurenta. Gdyby to miała być prawda, rzecz niezgorsza! tentująca! awantura jedyna! Byleby mi Petryłło z Rotmistrzem nie przeszkadzali, mogę zajść daleko!! Kto wie! trafiają się po świecie dziwniejsze rzeczy. Ale ci jak się uwezma po swojemu, nie sprostam im, bo do kobiet nie mam wprawy i konkurencji nie wytrzymam: przez nogę mnie przesadza. Potrzeba ich oddalić, a niema innego sposobu tylko ich do starych amatorów odesłać: te panie nadto się ostro z niemi obchodzą. należy wpłynąć na to, by ostatecznej nie odbierały im nadziei! Chytró, mudro, mógłbym ja to dokazać... (*myśli*) Da się zrobić; kobiecie łatwiej wmówić by była czulszą, niż wstrzymać od afektu... tak uczynię... Otóż i panna Marta, od niej pocznę...

SCENA XII.

P. JACEK—P. MARTA.

JACEK.

Gdzieżto pani Rotmistrza rzuciła?

P. MARTA.

A cóż on mnie obchodzi? poszedł za Księżną.

JACEK.

Co obchodzi? wszakże to dawny służka pani?

P. MARTA.

Odprawiłam go przecie, jako wiecie, i może sobie nowej służby szukać, bo mu się kontrakt skończył.

JACEK.

Ho! ho! skończył!

P. MARTA.

Nie wierzysz?

JACEK.

Nie spełna, a myślę sobie, po co go do desperacji doprowadzać ostatecznej?

P. MARTA.

A na cóż go uwodzić?

JACEK.

Zapewne! zapewne! Ale gdyby też nikt za męża nie szedł?

P. MARTA.

To cóż! sam waćpan powiadasz, że to byłoby najlepiej.

JACEK (*powoli sentencyjonalnie*).

To jest nie generalna reguła, ale dla wybranych, dla wybranych; pospolitsze zaś i słabsze istoty...

P. MARTA.

Dziękuję: widocznie liczysz mnie waćpan do pospolitych i słabych.

JACEK (*tak samo*).

Uchowaj Boże! Jednakże rada, którą ośmieliłem się uczynić pani cześnikowej jako wdowie, nie daje się ściśle stosować do panny Łowczanki: wielka jest bowiem różnica między stanem wdowim a panieńskim.

P. MARTA.

Co się dziś waćpanu stało?

JACEK.

Ale ja zawsze jedno prawię i ośmielam się uczynić uwagę, że nie zmieniam zasady.

P. MARTA.

Jak żyje, nicem podobnego od waćpana nie słyszała.

JACEK (*wzdycha*).

Jakto trudno być od ludzi zrozumianym!

P. MARTA.

Przecież nie jestem tak ograniczona... dziś się panu zebrało na komplementa.

JACEK.

Przepraszam! (*do siebie*) ot tom sobie biedy napisał: nie miałem w myśli...

P. MARTA (*do siebie*).

Co jemu jest?

JACEK.

Gdybyś pani raczyła posłuchać uwagi, którą się uczynić ośmielę.

P. MARTA (*urazona*).

To może znowu waćpana nie zrozumieć.. Cały rok prawileś waćpan przeciwko małżeństwu, a teraz nagle bierzesz je w obronę.

JACEK (*argumentując*).

Nie jestem za niem dla wszystkich, ani przeciwko niemu dla wszystkich. Czy panna Łowczanka uczyła się dyalektyki?

P. MARTA

Dajże mi waćpan ze swoją lektyką pokój!

JACEK (*poważnie*).

Dlatego waćpanna mnie nigdy nie zrozumiesz. Jest bowiem prawda generalna, i prawda *quo ad casum... ad personam*; co przedziwne dla Cześnikowej, to dla panny Łowczanki może być niewłaściwe. Tak! uczyniłbym tę uwagę.

P. MARTA.

Co mu dziś jest?

JACEK.

Gdyby panna Łowczanka miała swój dom, niezależność, rodziców, święciej byłoby może nie iść

za mąż i ślubować panieństwo wiekuiste; ale w jej położeniu, gdy przyjdzie starość, osierocenie, brak podpory a potem z tego urodzą się narzekania na Opatrzność... co się ma obrażać niemi Boga, lepiej wziąć męża.

P. MARTA (*składając ręce*).

Waćpan to mówisz!!

JACEK.

I zawsze to mówiłem.

P. MARTA.

Gdzieżem była, żem tego nie słyszała! Więc za mąż pójść nie jest grzechem?

JACEK.

Nawet cnotą... to zależy...

P. MARTA.

I niekoniecznie potem prowadzi za sobą nieszczęście?

JACEK.

Tu różnie się trafia: wybór osoby, ośmielę się uczynić uwagę, grunt; jeśli stateczny, łagodny, przywiązany..

P. MARTA.

Jak Rotmistrz naprzykład?

JACEK.

Może mieć wiele z tych przymiotów!

P. MARTA,

Doprawdy, nie poznaję waćpana... nawet Rotmistrz!

JACEK.

Godny i zacny człowiek... zawsze to mówiłem i powtarzam... tylko panna Łowczanka pokornego sługi swego rozumieć nie chce.

P. MARTA.

Dziś doskonale rozumiem.

JACEK.

Alem zawsze mawiał: sprawa gardłowa małżeństwo! sprawa gardłowa! Dobrze się trzeba zastanowić, płocho nie iść, serce badać, a gdy się okaże inklinacya i wola Boża.. cóż począć! lepiej ślubować niż żałować!

P. MARTA.

Cóżto zagadało przez waćpana?

JACEK (*żywo*).

Ośmielam się uczynić uwagę, żem to zawsze mówił.

P. MARTA (*stoi zdziwiona*).

Prawda, żem chyba go nie rozumiała.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI—BASIA *wchodzi od ogrodu.*

P. MARTA.

Chodźże, chodź, a posłuchaj co pan Jacek prawi, zalecając święty stan małżeński.

BASIA.

Żartujesz chyba!

JACEK *(zmieszany)*.

Panna Lowczanka nie chce mnie rozumieć...

P. MARTA.

Niechże powtórzy cibie kazanie, które mnie prawił: sama osądzisz.

JACEK.

Najchętniej wypowiem, bo to są te maxymy, które ośmielałem się nieraz już głosić. Że lepszy stan bezzenny, to pewna; że stan wdowi błogosławiony, nie ma wątpliwości; że w małżeństwie są niebezpieczeństwa wielkie, doświadczona; że to jarzmo złote, ale jarzmo... nie. pewniejszego: ale że nie wszyscy do doskonałości stworzeni, i to prawda.

P. MARTA.

Szczególniej, widać, ja nie do niej stworzona jestem, bo mi pan Jacek dowodzi, że powinnam iść za mąż.

BASIA *(do Jacka)*.

Czyż tak? czy tak?

JACEK *(zakłopotany)*.

Ale nie, inaczej to było. Zagadało się o różnych rzeczach: spostrzegłem, że afekt Rotmistrza do panny Lowczanki jest bardzo głęboki i szczery: skierować się ośmieliłem uwagę jej na to... Któż wie, czy nie lepiej dać sobie czas do rozmyśłu, nie odpychać go całkowicie, zostawić mu jakąś nadzieję? Człowiek doprowadzony do rozpacz...

BASIA.

Rozpacz! Cha! cha! dalekoż jeszcze do tego! Oba oni z Petryllą takie do księżnej koperczaki stroją, tak się śmieją i skaczą przed nią, aż strach!

JACEK *(żywo)*.

Doprawdy? To źle! to bardzo źle! to najgorzej.

BASIA.

A cóż złego? Znalazł swój swego.

JACEK.

Pani to także bierzesz tak chłodno?

BASIA.

Martwić się nie mam czem. Chwała Bogu, że i Petryllo wybił sobie z głowy próżne konkury. Niech się zaleca.

JACEK.

I on tam! oba przy niej?

BASIA.

Oba?

JACEK.

A księżna.

BASIA.

Szczerzy do nich ząbki, aż miło.

JACEK (*oburzony*).

To bardzo źle! to niegodziwie!

(*Chodzi żywo*).

Dosyć, że nigdy mnie nie zrozumiecie państwo.

BASIA.

I ja?

JACEK.

Ośmielę się uczynić uwagę, że i pani Cześnikowa; bo po cóż było zrazić tego zacnego, kochanego Petryłłę?

BASIA.

Jakto? sam waćpan radziłeś!

JACEK.

Ja? uchowaj Boże!

BASIA.

Mówiłeś o niebezpieczeństwie przywyknienia, o niewoli małżeńskiej.

JACEK (*przyciskiem*).

Generalnie, ale nie *partykularnie*! Petryłło człek otwarty, szczerzy, godny.

BASIA.

I jam go zawsze za takiego miała.

JACEK.

To prawda, żem się nie radził śpieszyć; mówiłem zawsze: *festina lente*.

P. MARTA.

Festynów żadnych nie było.

JACEK.

Nikt mnie nie rozumie...

BASIA.

Po cóż waćpan po łacinie z nami mówisz?

JACEK.

Stary nałóg! Ale doprawdy, Cześnikowo dobrodziejko, ośmielę się uczynić uwagę, że na wszelki wypadek szkoda człowieka, tego Petryłły.

BASIA.

Waćpan to mówisz?

JACEK

Zawszem to dawał do zrozumienia, chociaż niewyraźnie.

BASIA.

Bardzo jakoś niewyraźnie.

JACEK.

I teraz wartoby go od tej księżnej odciągnąć, żeby nie mieć takiego balamuctwa na sumieniu

BASIA (*do Marty*).

Co mu się stało?

P. MARTA.

Nie wiem; ale to pewna, że takim go pobłażającym nie pamiętam.

JACEK (*powoli, dobitnie*).

Est modus in rebus! Niepotrzeba ani nazbyt ośmielać, ani raptownie odpychać; niekoniecznie iść za męża, ale można być grzeczną, i, ośmielam się uczynić uwagę, nieco powolniejszą... Któż wie, a jeśli się dowodnie okaże i moc przywiązania i wola Boska?

BASIA (*żywo*).

To możnaby pójść za męża i wdowie?

JACEK (*skłopotany*).

Nie mówię, by dobrze było; ależ w tem nie ma grzechu.

BASIA.

Ja zawsze sobie tak myślałam. Chwałaż Bogu!

P. MARTA.

Widać, żeśmy go obie nie rozumiały!

(*Odchodzą w prawo*).

JACEK (*sam*).

Otóż masz! wygadałem się zbyt stanowczo. Jakże je teraz będzie znowu, gdy przyjdzie potrzeba, na dawną drogę zawrócić? Ciągłe kłopoty! (*podnosząc oczy i ręce do góry*) chyba Opatrzność z nich wydzwignie ręką wszechmocną! (*wzdycha*).

SCENA XVI.

JACEK—*od ogrodu wchodzi* KSIEŻNA.

KSIEŻNA (*do Jacka*).

Stój pan, czekaj; wszędzie go szukam i znaleźć nie mogę! Ledwie się pozbyła natrętów... Gdzież są panie?

JACEK.

Tylko co odeszły. Wasza Księżęca Mość prawdziwie łaską swą przywodziśz mnie do konfuzyi.

KSIEŻNA.

Szczerze mówię, żeś mi się waćpan bardzo podobał. U nas, w Saxonii, nie ma tych ceregielów co w Polsce; jeżeli, szczególnież wdowie, podoba się

mężczyzna, przychodzi wprost do niego, ot tak jak ja do waćpana, i mówi mu gładząc go pod brodę,

(P. Jacek się cofa)

Serdeńko, kocham cię, i.. kwita.

JACEK.

Przyjemny bardzo obyczaj, ale...

KSIEŻNA.

Ja znajduję także, iż dogodny jest, krom głaskania pod brodę, bo to już można na później zostawić. I choć to w Polsce, ale jako księżna saska, zdaje mi się, że mam prawo, choć trochę obcesowo, powiedzieć waćpanu, że mi bardzo przypadłeś do smaku.

JACEK (*kłania się*).

Byłoby to szczęście dla mnie nad zasługę.

KSIEŻNA.

Póki tu ich nie ma, siadaj; pogadamy sobie.

(*Jacek i księżna siadają obok siebie*)

JACEK.

Co mi Wasza Księżca Mość rozkaże?

KSIEŻNA.

Słyszę tu od wszystkich; że z waćpana wielki nieprzyjaciół małżeństwa?

JACEK.

Ze mnie? Uczynię Waszej Księżcej Mości uwagę, że dołą moją jest być niezrozumianym od ludzi.

KSIEŻNA.

Cześnikowa, panna Marta, Petryllo, Rotmistrz: wszyscy mówią, żeś ich zdysgustował całkiem od małżeństwa, i postanowili, skutkiem jego namowy, wyrzec się słodyczy tego stanu.

JACEK (*skłopotany*).

Ale Wasza Księżca Mość nie dajesz temu wiary, spodziewam się; umysł jej wzniosły pojmie łatwo, że są prawdy różne, wedle położen, usposobień, wieku i charakteru człowieka. A co się tyczy wdów.. (*do siebie*) o mało głupstwa nie wyrzekłem.

KSIEŻNA.

Gadaj-no dalej, bo jeszcze nie rozumiem, choć istotnie umysł mam bardzo wzniosły.

JACEK.

Co dobrem jest dla wdowy...

KSIEŻNA (*przerywa*).

To mnie właśnie obchodzi najwięcej, bom wdowa...

JACEK (*kończąc*).

I wdowy nizkiego stanu, małej fortuny, jak Cześnikowa, to może nie przystoi pannie lub osobie tak wysoko położonej, tej krwi i pozycji, co W. Ks. Mość.

KSIEŻNA.

Co to ma za związek z krwią? Dość, że waćpan wdowom nie pozwalasz iść za mąż.

JACEK.

Ja? uchowaj Boże! owszem zalecam, ale obsta-
je przy rozumnym wyborze. Tu samo rzeczy ognisko,
tu waga, wybór wedle głowy, serca i wszelkich
konsyderacyj...

KSIEŻNA.

Rozumiem; to znaczy: gdyby która waćpana
chciała, co innego, a gdyby inszego, co innego
znowu.

JACEK.

Nie o mnie tu chodzi, ale o przymioty preten-
denta, aby był... nie płochy.

KSIEŻNA.

Nie frant.

JACEK.

Nie szalawiła, nie pustak, nie zaśniedziały jakiś
hreczkosiej.

KSIEŻNA.

Rozumiem.

JACEK.

Wreszcie, tu pociąg i sympatya grunt rzeczy.

KSIEŻNA.

Masz słusność: gdzie nie ma sympatyi wzajemnej,
tam trudno, by było pożyte dobre. Cóż dalej?

JACEK.

Ale jeśli są wszystkie warunki, małżeństwo staje
się nie tylko dobrem, ale koniecznem. Zawsze czyni-
łem tę uwagę.

KSIEŻNA.

Jakże mi to miło, że waćpana tak mówiącego sły-
szę! Zaraz muszę wywieść z błędu Cześnikową, któ-
ra czule spogląda na sąsiada, on na nią, a zbliżyć się
do siebie nie śmieją.

JACEK (*z westchnieniem*).

Szczęśliwy Petryłło, że znalazł w życiu port spo-
czynku i cień życzliwości, pod którym wytchnie.

KSIEŻNA.

Czyżbyś mu waćpan zazdrościł?

JACEK.

Nie osoby, ale afektu.

KSIEŻNA.

Rzecz rzadka w teraźniejsze czasy, afekt stały
i szczery.

JACEK.

Rara avis in terris! to jest...

KSIEŻNA.

Nie tłumacz pan: rozumiem po łacinie.

JACEK(*zdziwiony*).

I po łacinie rozumie! Co to za kobieta!

KSIEŻNA.

Uczyłam się na akademii w Padwie... Ale wracając do afektów, trzeba wiedzieć, że z niemitak jak w grze: im kto dłużej przegrywa, tem pewniejszy, że w końcu na pewno trafi... A waćpan to nigdyś się w życiu nie kochał?

JACEK.

Nigdy, chociaż.. chociaż czuję, że mam zdolność do tego.

KSIEŻNA.

Mógłbyś się zakochać? Możesz już zakochany?

JACEK (*skromnie*).

Jeszcze nie wiem, ale się tego lękam właśnie.

KSIEŻNA.

Nie masz się waćpan czego lękać...

JACEK.

A jeśli przedmiot afektu nie odpowie mojemu przywiązaniu?

KSIEŻNA.

Cóż znowu? chybaby szczęśliwa ta niewiasta oczów i serca nie miała! Choć od niedawna mam przyjemność znać waćpana, ale szczerze mówię, że gdybyś

się waćpan nawet w księżnie Bamberlink zakochał, powiedziałabym...(z *przyciskiem*) zobaczmy!

(*Odchodzi w prawo niby zmieszana; Sołoduha pozostaje zamyślony*).

SCENA XV.

JACEK—*później* GRZEŚ.

JACEK.

Czy mi się nie przysłyszało, jak rzekła: Gdybyś się waćpan w księżnie Bamberlink zakochał, powiedziałabym *zobaczmy!*" To wyraźnie, aż nadto wyraźnie! Oho! jest tedy rzecz! Idę, ogolę się i ubiorę, aby galante wystąpić. Cześnikowa mały ptaszek przy niej, to gruba co się zowie zwierzyzna: młoda, bogata i księżna! A że się król jegomość do niej zalecał, kto wie co mnie czeka? (*mówi powoli z przestankami*) Naprzód maleńkie starostwo... naturalnie, na początek; dalej kasztelanijka drażkowa... Cicho, sza! to jeszcze nie! aż i województwo *in partibus!* Dalej łapię urządzik nadworny malutki, potem laseczkę lub buławkę, i siedzę w ministerium między senatorami!!

(*Siada szeroko i nadyma się*)

GRZEŚ (*wpada nagle*),

Proszę wydać owsa dla koni!

JACEK.

A! a!

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

Ta sama dekoracya.

SCENA I.

ROTMISTRZ—GRZEŚ—RÓZIA.

ROTMISTRZ.

Wszystko tedy idzie jak z płatka: księżna nasza dokazuje cudów, pan Jacek zmieniony do niepoznania, przylgnął do niej, i innym okiem patrzy na nasze zaloty; Cześnikowa nie odpędza Petrylly; mnie panna Marta dziś trzy razy dała się w rękę pocałować: spodziewam się, że i waćpanna Grzesiowi nie będzie okrutną?

RÓZIA (*figlarnie*).

Muszę iść za przykładem starszych.

ROTMISTRZ.

Choć nie rada!

— 165 —

GRZEŚ,

Sasafras! U nas sług, zawsze ciągnie się wszystko za panami: napatrzywszy się, nasłuchawszy, musimy ich piosenkę śpiewać. Niech pan tylko zważa, który tylko pan w karty gra, pewnie ludzie jego na dyszlu tną w družbarta; który koperczaki stroi, już tam przy nim gachy; który pieniądze dusi, pewnie ma służbę lichwiarzy. Otóż i tu, musimy z panną Rozalią akomodować się do wiatru, jaki powieje; a że szczęśliwa aura zawiała ku ślubnym kobiercom, i nasza nawa ku nim dąży: byle się nam tego specjalika pozbyć, ile nas jest, staniemy w rządy do ołtarza.

ROTMISTRZ.

Cierpliwości! chwila niedaleka, byle język Petrylle nie zaświerzbiał, a nie wygadał się niepotrzebnie. Lada chwila p. Jacek księżnie się oświadczy, a mam słowo Basi, że skoro go zobaczy w tym stanie, sama postanowienie odmieni. Trzeba tylko tak urządzić wszystko, aby w chwili stanowczej nasze panie mogły oracyi pana Jacka posłuchać.

RÓZIA.

Ale czyż do tego przyjdzie?

ROTMISTRZ.

Wolą czy niewolą, musi.

RÓZIA.

Ja nie wiem, ale się czegoś boję, bo się coś knuje, czego nie rozumiem.

ROTMISTRZ.

Któż knuć może i co?

RÓZIA.

Pan Jacek jakiegoś chłopca tu zwołał do dworu, który służywał u wojewody, i coś mu w ucho kładzie: gotują się go gdzieś posyłać w wielkiej tajemnicy.

ROTMISTRZ.

Cóż nam zrobi?

GRZEŚ.

A nuż wymyśli sposób panów ztąd ruszyć? Bez was sobie rady nie damy.

RÓZIA.

To bardzo być może.

GRZEŚ.

I wszystko w łeb wzięło! Ale, sasafras! nie poważy się!

RÓZIA.

Gdzie o tak ważne idzie rzeczy, potrzeba się mieć na ostrożności.

GRZEŚ.

Co Rózia poradzi, złote słowa; trzeba jej słuchać: nie ma jak ona w ciężkim razie.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

Wartoby ją ministrem zrobić! Coś ty, Grzesiu, jak ten imperator rzymski, który konia konsulem mianował.

RÓZIA (*urazona*).

A to ślicznieś mnie pan porównał!

ROTMISTRZ.

Zważże proporcją: jak Grześ się ma do imperatora rzymskiego, tak ty do konia. Nie chybiłem!

GRZEŚ.

Wszelako Rózi by się więcej należało.

RÓZIA.

Chcesz pan, słuchaj, czy nie, mnie to wszystko jedno: ja ostrzegam.

ROTMISTRZ.

Adnotuję... ale panna Marta idzie. Na stronę! mam z nią ważną naradę.

(*Rózia i Grześ szepcząc odchodzą w lewo*).

SCENA II.

ROTMISTRZ—P. MARTA.

ROTMISTRZ (*zalone*).

Niechże mi, korzystając ze szczęśliwego trafu, wolno będzie przybliżyć się do Łowczanki dobro-

dziejki, bo przez cały dzień próżno szukałem zrzeczności, a długo spragnionemu choć w oczki popatrzeć, kordyał wielki.

P. MARTA.

Nie żartowałbyś waćpan.

ROTMISTRZ.

Klejnocie mój! Łowczanko droga! nie krzywdź mnie, obracając w żart, co łzami i krwią wypisać jestem gotów. Wszak ci wiernie jako królowi mojemu służę, i noszę jak zbroję na piersiach miłość moję, od dawnych lat wzdychając do szczęścia, bym tę rączkę przed ołtarzem mógł uściśnąć.

P. MARTA.

A księżna?

ROTMISTRZ.

Księżna? przyjechała i pojedzie.

P. MARTA.

A waćpan za nią, takeś się w niej rozmiłował.

ROTMISTRZ.

Ja?! Jeżeli do niej zagadał, to tylko z desperacji chyba, że mi panna Łowczanka i oczkiem nie mrugniesz.

P. MARTA.

Gdybym była powolniejszą, żlebym bardzo na tem wyszła, kiedy co chwila afekt waćpanów się zmienia, jak chorągiewka na dachu.

ROTMISTRZ.

Ale gdzież afekt? to żarty!

P. MARTA.

Ja takich żartów nie rozumiem.

ROTMISTRZ.

Ależ do rozpaczby byłem przywiedziony.

P. MARTA.

I rozpaczby takiej nie pojmuję.

ROTMISTRZ.

Łowczanko dobrodziejko, bądź łagodniejszą dla sługi swojego.

P. MARTA.

Waćpan nie zasługujesz na to. Co znaczą te wszystkie zaklęcia i przysięgi, kiedy lada pierwsza z brzegu kobieta zaraz waćpanu głowę zawraca?

ROTMISTRZ.

Czyż waćpanna nie widzisz, że to są żarty?

P. MARTA.

Piękne żarty! Widziałam jakeś ją waćpan w rekę całował.

ROTMISTRZ.

W rękawiczkę tylko.

P. MARTA.

I szeptał.

ROTMISTRZ.

Pytała mnie o drogę.

P. MARTA.

Kłamiesz waćpan: nie wierzę!

ROTMISTRZ.

Jak mi Bóg miły! klnę się...

P. MARTA.

Proszę się nie przysięgać i duszy nie gubić!
Oczymaś waćpan przewracał, aż wstyd!

ROTMISTRZ.

Mrugalem na Petryllę.

P. MARTA (*ciągle z urazą*).

To wszystko nieprawda! nieprawda! Chciałam tylko doświadczyć, jak daleko zajść może fałsz i obłuda mężczyzny, i dlatego pytałam waćpana.

ROTMISTRZ.

Łowczanko! klejnocie drogi!

P. MARTA.

Szczęście to, że waćpanu nie przyrzekła mojej ręki, że się nie dała uwieść jego zakłębom: bo gdyby to było po ślubie...

ROTMISTRZ.

O! żołnierskiem słowem zaręczyć mogę pannie Łowczance, że tegoby po ślubie nie było.

P. MARTA.

Mniejsza o to; teraz wiem co mam trzymać, i o żadnym ślubie, ani afekcie między nami nie ma mowy: pójdę raczej do klasztoru.

ROTMISTRZ (*przyklękując*).

Łowczanko! na wszystko się zaklinam, trzy godziny cierpliwości tylko!

(*Panna Marta wzrusza ramionami i wychodzi; Rotmistrz wstaje*).

Szczęście, że to dłużej nie trwało, bo bym się był wydał z tajemnicą i popsuł wszystko. Cierpliwości, Rotmistrzu! a wszystko się naprawi.

SCENA III.

ROTMISTRZ—BASIA.

—
BASIA (*gniewna wchodzi żywo*).

A już też tego dosyć, w moim domu!! nie zniosę tego zgorzienia! patrzeć na to nie chcę!

ROTMISTRZ.

Co ci to jest? co się stało?

BASIA.

A tyś wszystkiemu winien: ślicznego mi tu wprowadziłeś gościa... Ta księżna twoja...

ROTMISTRZ

Otóż masz! co księżna mogła przewinić?

BASIA.

To jakaś wierutna dworka!

ROTMISTRZ.

Dworka! pewnie: była przecie na dworze u Sasa!

BASIA.

Waćpan nie chcesz mnie rozumieć...

ROTMISTRZ.

Nie rozumiem w istocie: cóż zrobiła? mów!

BASIA (*oburzona*).

Ja tego dłużej nie zniosę! to zgorszenie!

ROTMISTRZ.

Ale cóż u Boga się stało? mów, proszę...

BASIA.

Petryllo się do niej obrzydliwie zaleca.

ROTMISTRZ.

A ona?

BASIA.

Ona ohydnie, niegodziwie go łapie, przyjmuje, mizdrzy się do niego. To wstyd, sromota!

ROTMISTRZ.

Co za wstyd? cóż w tem złego? On kawaler, ona wdowa; kiedy sobie się podobali, wszakże wolni ludzie: żadna ich przysięga nie wiąże!

BASIA.

Ależ Petryllo...

ROTMISTRZ.

A cóż Petryllo: tyś go nie chciała. Jeśli jej dobry, co masz mu szczęścia zazdrościć: jeszcze się pochwalisz, że co dla szlachejki było nie hoże, to sobie saska księżna wzięła za przysmak.

BASIA.

A któż powiedział, że ja go nie chciała?

ROTMISTRZ.

Dałaś mu formalną odprawę przecie.

BASIA.

A może to było tylko... na próbę.

ROTMISTRZ.

I sprobowałaś, że się to na nie nie zdało. Co miał sobie z rusznicy w łeb wypalić, albo się na dębie obwiesić, lepiej że z wdówką ożeniwszy się piwko będzie u Sasów zapijał.

BASIA.

Tacyście wy wszyscy...

ROTMISTRZ.

A wy lepsze! oj! oj! Kocioł garkowi przymawia, a obadwa smolą.

BASIA.

My przecie tak serca zmieniać nie umiemy.

ROTMISTRZ.

Jak nie? a waćpani, sioostro dobrodziejko, nie kochałaś Petryłły, i nie zmieniałaś afektu dla niego?

BASIA.

Któż to wie?

ROTMISTRZ.

Dostał grochu nieborak, to jasno.

BASIA.

A jeśli to było na próbę?

ROTMISTRZ.

Śliczne próby, człowieka do rozpacz przywodzić? To tak, jak ów co strzelił do idącego i ubił; pytają

go co uczynił? powiada, że rusznicy próbował dawno nabitej czy wystrzeli.

BASIA,

Mniejsza o was, bardzo sobie teraz winszuję, że się tak stało, bo przynajmniej wstydę się za niego, ale nie cierpię...

ROTMISTRZ.

Basieczku kochana, wierzaj mi, to są żarty: on cię kocha... kto wie czy i on nie czyni tego na próbę.

BASIA.

Piękna próba! to zgorszenie! to zgroza!

ROTMISTRZ.

A, próba za próbę!

BASIA.

Petryłło płochy jakto wy wszyscy, ale co ta księżna, to niegodziwa zalotnica; niech przenocuje sobie, ale jutro ani myślę ją wstrzymywać: niech rusza na cztery wiatry; prosić jej nie będę pewnie.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

Powiedz tylko Petrylle, on ją do siebie zabierze.

(*Odchodzi, i we drzwiach spotyka Petryłłę któremu wskazuje Cześnikową*).

SCENA IV.

BASIA — PETRYŁŁO.

PETRYŁŁO.

A! pani Cześnikowa dobrodziejka tu?

BASIA (*urazona, żywo*).

A waćpan tam u nóg księżnej?

PETRYŁŁO.

Ja? u nóg? to się po mnie nie pokaże.

BASIA.

Może się waćpan zaprzesz, żeś tam koperczaki stroił?

PETRYŁŁO.

Ja? ja? (*na stronie*) lichy Rotmistrza wyniosło, byłby mi dopomógł. Kłamać nie umiem; jak przy-ciśnie, to się wygadam... a tu milczeć potrzeba... (*głośno*).

BASIA.

Co tam waćpan mruczysz... jużci to było jawne: wszyscy widzieli!! Śliczny z pana człowiek! rano jednej się przysięga, wieczorem przed drugą klęczy...

PETRYŁŁO.

O! żem nie klęczał, na to świadków postawię.

BASIA.

Przynajmniej blisko tego było...

PETRYŁŁO.

Daleko i bardzo daleko, Cześnikowo dobrodziejko! bo chociażem jej prawil trzy po trzy, tom nie myślał com gadał.

BASIA,

A prawileś dlatego! To jeszcze gorzej, to szkaradnie! Jakże można przysięgać, uwodzić, nie myśląc.

PETRYŁŁO.

A! jam Bogu ducha winien! to było... (*zatrzymuje się*).

BASIA.

Waćpan! waćpan gorszy jesteś od wszystkich, boś tak udawał niewinnego, żem mu wierzyła, a koniec końcem takiś dobry jak i drudzy.

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Już dalipan nie wytrzymam i powiem jej jak to było... że to czysta komedya! (*głośno*) Cześnikowo dobrodziejko, na złote jej serce zaklinam, nie przywóđź mnie pani do rozpaczy, bom nie zasłużył: szczególny zbieg okoliczności...

BASIA.

Waćpan zasłużyłeś na rozpacz...

PETRYŁŁO.

I nie trudno będzie o nią: rzeknij słowo jeszcze,
a pójde.

BASIA (*szyszcząc*).

Do księżnej?

PETRYŁŁO.

Nie: do tej trzpiotnicy, nie.

BASIA.

Więc do drugiej podobnej?

PETRYŁŁO (*gniewnie*).

Otóż to kobiety! lada pozór, lada słowo; żadnej
wiary w człowieka...

BASIA.

A waćpanowie, byle oczki nowe, byle nowa twa-
rzyćka, choćby bielona, wnet o dawnym afekcie
zapominacie...

PETRYŁŁO.

Nie, póki życia!

BASIA.

Przecież widziałam...

PETRYŁŁO.

A! to było! to było umyślnie tak.

BASIA.

Wierzę, że nie przypadkiem! Oczki się waćpanu
śmiały!

PETRYŁŁO.

Komedia, Cześnikowo!

BASIA.

I szeptałeś!

PETRYŁŁO.

Prawda, ale tak wypadło.

BASIA.

I za rękę ją waćpan ścisnąłeś.

PETRYŁŁO.

Nie! to ona mnie.

BASIA (*żywo*).

To jeszcze gorzej!

PETRYŁŁO.

Alem mimoto nic nie winien!!

BASIA.

Gdybyś waćpan nie był powodem, ręki nie po-
dał, nie byłaby jej ścisnęła: to zbrodnia!

PETRYŁŁO.

Prawda, winieniem, ale rzecz ta wyklaruje się
wkrótce, i okaże, że czysty i niewinny jak no-
wonarodzone niemowlę... To wszystko z powodu...
Rotmistrza.

BASIA.

Co Rotmistrz winien żeś waćpan płochy?? Słyszał kto podobne tłumaczenie?

PETRYŁŁO.

No, tak; wierz pani nie wierz, a ja powiadam, że to jego robota, i bierz lichy wszystko...

BASIA.

Opamiętajże się waćpan: jak możesz zrzucać winę na brata mojego?

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Prawda! jak tu się wykręcić! O! gdyby nadszedł i wyrwał mnie z tej toni, bo dalej albo zdradzę go, albo ucieknę: języka nie utrzymam... Co począć!

BASIA.

Tłumaczże się choć wyraźniej!

PETRYŁŁO (*kładzie palec na ustach*).

Nie mogę!!

BASIA.

Rozumiem! winien jesteś i nie możesz się wytłumaczyć... Bądź waćpan zdrow! żegnam go! (*gniewna odchodzi*).

SCENA V.

PETRYŁŁO—ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ.

A co?

PETRYŁŁO.

Niech cię pioruny... nie biją! Człowieku, coś ty mi narobił, a toć rozbrat wiekuisty z Cześnikową... tak mnie przyjęła!

ROTMISTRZ.

Czegóż chcesz? powinienes się cieszyć!

PETRYŁŁO.

Ale mnie wylażała niemal, znienawidziła.

ROTMISTRZ.

Najlepszy znak. Mówią, że są kraje w których żony wątpią o miłości mężowskiej, skoro ci bić je przestają; toż samo ma się rozumieć o kochankach: póki ich lają, póty o nich dbają!!

PETRYŁŁO.

Wolałbym się obejść bez tego dowodu!

ROTMISTRZ.

Nie wygadałeś się przecie.

PETRYŁŁO.

Niewiele brakło, a jak jeszcze raz się z nią spotkam, bierz lichu Soloduchę... ciebie; ja klamać nie będę dla zbawienia duszy: powiem jak się rzecz ma,

ROTMISTRZ (*zimno*).

To i dobrze; pójdziesz z kwitkiem i basta.

SCENA IV.

C I Ź — W O J T E K.

ROTMISTRZ.

Co to chcesz chłopcze?

WOJTEK.

Szukam JW. Rotmistrza Kaniowy.

ROTMISTRZ (*wpatrując się*).

A na co ci on? Oto go masz, stoi przed tobą; coć po nim?

WOJTEK.

Posłanym do niego...

ROTMISTRZ.

(Rozumiem) a od kogo?

WOJTEK.

Od Wojewody.

ROTMISTRZ.

Ba! przypomniał sobie stary że żyję... No i cóż ma do mnie?

WOJTEK.

Toć ja tam nie wiem. Dla bardzo pilnej sprawy, uniżenie was prosić przykazał, abyście do niego dziś jeszcze pospieszyli.

ROTMISTRZ.

Dziś jeszcze? a gdzież pismo?

WOJTEK.

Nie było czasu pisać, nie dali mi pisma; ino sam konia mi kazał dosiąść i spieszyć ze słowem do was.

ROTMISTRZ (*potrząsa głową*).

Ho! ho! jako lichu ukuto! posłaniec bez listu! od Wojewody! nie pleć się, nie pleć... To dziw! prosił na dziś jeszcze!

WOJTEK (*zmieszany trochę*).

Koniecznie...

ROTMISTRZ.

Rozumiem... Ej? chłopcze! daleko zajdziesz tak wcześniej poczynając: albo na wieżę, albo na szubienicę!

WOJTEK.

Cóżem ja winien, proszę pana, że mi pisma nie dali. A to sam Wojewoda wyszedł i powiedział mi targając

wasza. „Pokłoń się Rotmistrzowi i powiedz ode mnie, (bo wiem, że do siostry przyjechał), niech choć zmęczony i nie rad przyleci tu do mnie, bo sprawa gardłowa!“

ROTMISTRZ.

Już to ja wiem, że tam zawsze sprawa gardłowa, bo ci leją w gardło rostruchanami zieleniaku, że aż w karku trzeszczy; ale na ten raz... gardła nie dam, i dosyć będzie jutro Wojewodę przywitać.

WOJTEK.

A! kiedyż tak pan prosił...

ROTMISTRZ.

To się wie, że prosił... Chłopcze! patrzno mi w oczy! (*przygląda mu się*) O frant!.. tak! wiem pewnie kto go posłał.

PETRYŁŁO.

A któż go miał posyłać; tu nie ma co zwlekać, na koń i do niego: może idzie o sejmik...

ROTMISTRZ.

Ale ba! ja to wiem o co idzie, i kto go wyprawiał!

PETRYŁŁO.

Ale któżby się ośmielił?

ROTMISTRZ (*cicho*).

Cyt! będę wiedział co robić.

PETRYŁŁO.

Chyba się w łóżko położyć i zachorzeć; ale cię widział chłopiec.

ROTMISTRZ (*do Wojtka*).

Otóż siadaj na koń wasze, i od bramy czwalem leć nazad do Wojewody.

WOJTEK.

A wy, przybędziecie?

ROTMISTRZ.

Ja, nie.

WOJTEK.

Jakto? a czemużby.

ROTMISTRZ.

Pierwsza rzecz, żem dziś z konia zlaźł...

PETRYŁŁO.

Bój się Boga, co za racya dla konfederata!

ROTMISTRZ.

Powtóre powiesz mu...

WOJTEK.

Ale mi nie uwierzą.

ROTMISTRZ.

E! to i na piśmie dam choć z pieczęcią...

WOJTEK.

Czekająż mnie plagi!

PETRYŁŁO.

Czemużbyś nie pojechał?

ROTMISTRZ.

Bo i nie chcę i nie mogę; słuchaj chłopcze, druga jest racya...

PETRYŁŁO.

E! niezręcznie...

ROTMISTRZ.

Owszem, zobaczysz! Druga racya, że Wojewoda wasz mężczyzna... a tu mamy księżną, kobietę, około której także sprawa gardłowa; powiesz więc, że najprzód odslużę księżnię, a potem się Wojewodzie wytłumaczę.

WOJTEK.

Ale mój pan dziś czeka.

ROTMISTRZ.

A jakby do jutra poczekał?

WOJTEK,

Markotno mu będzie.

ROTMISTRZ.

A jak mu będzie markotno?...

WOJTEK.

To się będzie gniewał.

ROTMISTRZ.

A jak się pogniewa, to co? pal go kaduk! Kłaniajże się pięknie Wojewodzie, moje dziecko.

WOJTEK (*stoi chwilę*)

Czy już reszta?

ROTMISTRZ.

Teraz bywaj zdrów, na prawo do drzwi, za klamkę... i ruszaj, słyszysz!...

WOJTEK.

Ależ...

ROTMISTRZ.

Nie ma ale, ordynans jest taki: raz, dwa, trzy... marsz...

(*Wojtek waha się—Rotmistrz robi krok do drzwi chłopiec uchodzi*).

ROTMISTRZ (*do Petryłły*).

Nie frasuj się o Wojewodę, nie od niego to był posłaniec; znam się na sztukach: a teraz chodźmy do bab.

PETRYŁŁO.

A! abym się tylko nie wygadał!

ROTMISTRZ.

Rób jak lepiej, ale przestrzegam, że jak popusujesz sprawę, ja jej latać nie myślę...

(Wychodzą, we drzwiach od ogrodu spotykają p. Jacka, który wchodzi zamysłony i mija ich, bardzo się im nisko kłaniając).

SCENA VII.

J A C E K *sam.*

A! gdyby się tylko pozbyć Rotmistrza... Petrylę, sam potrafię wyprawić; wszyscy oni do niej! wszyscy do niej jak na lep! Gotowi mi popsuć u niej, bo Rotmistrz i pokaźniejszy (choć to nie nie dowodzi) i gębę ma, i śmielszy. Wolę być sam... Wojtek się już sprawić musiał.

SCENA VIII.

JACEK—WOJTEK *wygląda przez drzwi.*

JACEK.

Chodź! chodź! a co, sprawiłeś mi się?

WOJTEK.

Sprawiłem się.

JACEK.

A jak?

WOJTEK.

Powiedziałem co przykazano.

JACEK.

A on?

WOJTEK.

Słuchał!

JACEK.

I cóż?

WOJTEK.

A wysłuchawszy i pokiwawszy głową, powiedział mi: pokłoń się Wojewodzie i daj mu moje racye, dla których dziś przybyć nie mogę.

JACEK *(żywo).*

Jakie racye?

WOJTEK.

Powiada wprzód, że go kulbaka natarła... i że starsza tam księżna jakaś od wojewody... i dodał jeszcze: pal go diabli!

JACEK.

Jakto? temi słowy?...

WOJTEK.

Jeśli nie gorszemi jeszcze.

JACEK.

Idźże mi precz trutniu! Ślicznie się sprawił!

WOJTEK.

A cóż? zrobiliśmy, on swoje a ja swoje. A na piwo?

JACEK.

Będiesz ty widział na piwo!

WOJTEK.

A nu! to pójdę do Rotmistrza; jak chcecie...

JACEK (*przestraszony*)

Naści orta; idź do kąta, i nie pokazuj oczów.

(*Wojtek popatrzywszy na orta, odchodzi.*)

A to przekłety konfederat! co tu z nim począć: nie dał się i wojewodzie! Trzeba go do panny Marty jak odpędzić, lub spoić, lub sam już nie wiem; doprawdy, głowę tracę, a księżnej mi szkoda. Wyraźnie ma się do mnie; żelazo bić potrzeba póki gorące! (*spostrzega Rotmistrza*) Otóż go już tu lichu niesie; dobrze jeszcze, że Wojtek sobie poszedł.

SCENA IX.

JACEK—ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ.

A ja szukam waćpana, panie Pisarzewiczu!

JACEK (*słodko*).

Jakto się złożyło, bo ja właśnie kochanego Rotmistrza chciałem znaleźć.

ROTMISTRZ.

A co Bóg dał?

JACEK.

Ważna sprawa (*jąka się*).

ROTMISTRZ.

Mówże prędko, bo i ja ci mam niemniej ważną rzecz powiedzieć.

JACEK.

Więc czekam.

ROTMISTRZ.

Ja także.

JACEK.

Ja nie pocznę pierwszy.

ROTMISTRZ.

I ja też.

JACEK.

Nie mogę: wprzód waćpan.

ROTMISTRZ.

No, dobrze, nie będę cię męczył długo, ani się przybierał jak czajka za morze; ot co jest, rzecz niezawodna, że księżnie w oko wpadłeś.

JACEK.

Ja! ale gdzież zaś! imaginacya!

ROTMISTRZ.

Powtórnie ci to oznajmuje, byś wiedział co czynić. I ja i Petryłło i wszyscy a wszyscy to postrzegamy, nawet Cześnikowa. Ino waćpan wyjdiesz, jakby ją kto mrozem okrył, siedzi i wzdycha, ogląda się, pyta, a waćpana oczyma ściga.

JACEK.

Nie może to być! gdzieżbym ja chudy pacholek...
(*po chwili*) I istotnie obserwowano?

ROTMISTRZ.

Wszyscy co do nogi, to nie żarty.

JACEK.

Na Boga! jam temu nie winien, panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Alboż kto waćpana winuje? Ja ci winszuję tylko z całego serca, *ex plenitudine cordis*; przecież to księżna Bam-ber-link i milionowa pani. A nuż jej przyjdzie fantazyja pójść za waszeci Pisarzowiczowiczu. Co powiesz? waćpan słyszę nie chciałeś się zenić, a tu zmuszą!

JACEK (*zmieszany*).

Jakto? mogą nawet zmusić?

ROTMISTRZ (*seryo*).

Mogą: w przeszłym roku tak było, że hrabina saska, jakże się też zwała... a! Pludermantel, (bo to u nich jedno od drugich dziwniejsze nazwiska), upodobała sobie szlacheica polskiego, który miał żonę i drobnych sześcioro dzieci; powieźli go pocztą do Saxonii, zasadzili na chleb i na wodę i póty trzymali, aż się wyrzekł i żony i dzieci, i przystawszy na ich wiarę, ożenił się nieboraczek.

JACEK.

Straszne rzeczy! Ale to wypadek jedyny.

ROTMISTRZ.

Nie jedyny: nabrali stąd, szczególnie Litwinów, do Saxonii mnóstwo; teraz tam, słyszę, boćwinę sadzą.

JACEK.

Waćpan żartujesz.

ROTMISTRZ (*ciągle seryo*).

Wcale nie: przecież ja i Petryłło mamy oczy... Że się będziesz musiał zenić, przewiduję; a uczyniłeś, słyszę, ślub bezzenności?

JACEK (*skłopotany*).

Prawdę rzekłszy, jeszcze go nie uczyniłem: miałem go zrobić, ale szczęściem, nie jestem wcale związany, bo znając słabość natury ludzkiej...

ROTMISTRZ.

To szczęście: unikniesz waćpan krzywoprzysięstwa.

JACEK.

Ale jeśli mogę się ośmielić uczynić uwagę, cóż radzić?

ROTMISTRZ.

Nie ma rady: jeśli się uprze, trzeba się poddać losowi. Zresztą, nie także to wielkie dla waćpana zło. Mówią niektórzy wprawdzie, że te Saxonki, wedle obyczaju miejscowego, starych mężów później przy wrotach na łańcuchach trzymają, ale to są wierutne bajki!

JACEK (*śmiejąc się*).

E! to są bajki!

ROTMISTRZ (*śmiejąc się także*).

I ja tak mówię.

JACEK.

Ale i to bajka, co waćpan mi prawisz, kochany Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

A ba! wcale nie! Ja jestem praktykant w tych sprawach: można mi wierzyć. Jest temu lat pięć, raz na odpuszcie w Gorzejowej zobaczyłem parę ludzi, którzy się tam pierwszy raz spotkali, i założyłem się zaraz o sforę ogarów, że się będą kochali i pobiorą: cóż powiesz?

JACEK (*z zajęciem*).

Wygrałeś waćpan?

ROTMISTRZ.

Tak dalece, że w rok nietylko się kochali, nietylko się pobrali, ale oboje z tego kochania pomarli, bo nie nie jedząc, ciągle sobie w oczy patrzali... i tak niebożątka pozdychali... A sfora ogarów (czego odżalować nie mogę) także zdechła.

JACEK.

Wielka szkoda!

ROTMISTRZ.

Patrz tylko waćpan, by i z wami tego nie było, bo księżna strasznie na waćpana patrzy, jakby oczyma zjeść chciała.

JACEK.

E! to być nie może! Ja człek mizerny...

ROTMISTRZ.

Różne się rzeczy po świecie trafiają. Niezmiernie mi tylko żal siostry, że straci tak zabiegłego gospodarza.

JACEK (*pokornie*).

To prawda; wedle sił starałem się służyć wierne i gorliwie.

ROTMISTRZ.

Ale kiedy ci się los trafia, trudno znowu, żebyśmy cię przez przyjaźń takiego szczęścia pozbawić mieli. A co tam mówić mi miałeś?

JACEK.

E! to się da odłożyć...

ROTMISTRZ.

Sprawa gardłowa?

JACEK.

Nie ważnego, nie ważnego.

ROTMISTRZ.

Jak chcesz; ale co się tyczy księżnej, nie zwlekaj.

JACEK.

Jakto, radzicie mi?

ROTMISTRZ.

Radzę śpieszyć: baba czeka tylko okazji, aby ci się wyswatać. Waćpan jej wyraźnie z powodu jakiegoś podobieństwa w oko wpadłeś: kuj żelazo póki gorące. Zdybawszy się z jejmością, padnij do nóg, oświadczyć afekt, czy go masz czy nie masz (to przyjdzie z czasem), a nie, to waszeci Petryłło uprzedzi. Jej zaś, jak się okazuje, pilno potrzeba męża.

JACEK.

Nie potrafię się ośmielić...

ROTMISTRZ.

Petryłło obcesowy: potrzeba zebrać odwagę. Wstydz się znów tchórzyc przed kobietą!

JACEK.

Tchórz nie jestem, tylko... tylko ostrożny.

ROTMISTRZ.

I przesadzisz tą ostrożnością: bo cóż? gdyby nawet (co nigdy być nie powinno) księżna nie mogła się tak prędko decydować, lub nie chciała, dla wstydu kobiecego: korona ci z głowy nie spadnie, bo jej nie masz.

JACEK.

Nie chciałoby się pójść z kwitkiem.

ROTMISTRZ.

I nie pójdziesz! Są afekta tak gwałtowne, wierzą mi: na koniach i na miłości znam się tak, że nie potrzebuję patrzeć w zęby.

JACEK.

Jednakże przypuścić trudno, abym ja, mizerota, miał mieć szczęście: trudno, bardzo trudno!

ROTMISTRZ.

Ale się to trafia. Byłem raz świadkiem na Pokuciu (prawda, że w mięsopust): z poniedziałku na wtorek poznał się jeden mój przyjaciel z wdową, i przed Popielcem ślub wzięli: wszystkiego dwadzieścia cztery godziny konkurował.

JACEK.

Możeż to być?

Ale to był człek wielkiego animuszu, bo w półtorej godziny w alkierzu jej padł do nóg zaraz, i pożyczanym pierścieniem się zaręczył, swojego nie mając.

JACEK.

Historie mi waćpan opowiadasz, kochany Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

I powtarzam raz jeszcze: nie ociągaj się, nie zwlekaj, czasu do rozmyśłów nie dawaj; bo że teraz dla waszmości jest skłonna, wątpliwości nie ma najmniejszej.

JACEK.

Czyżby to być mogło?!

ROTMISTRZ.

Wszyscy to widzą i cały dom o tem gada.

JACEK (*składa ręce*).

Nie do wiary!

ROTMISTRZ.

Tylko żeś waćpan nieśmiały, powolny, ociągający się; bo gdyby tak na mnie, ho! ho!

JACEK.

Trochę jestem ostrożny: to cnota.

ROTMISTRZ.

Jeśli nie wada i kalectwo: wiara w siebie to połowa szczęścia. Zważaj waćpan tylko, jak ci się księżna nawinie, a zostaniecie sam-na-sam, buch jej do nóg, i śmiało, nie pytając, oświadczyć się.

JACEK.

Jakże ja to potrafię? To sęk!

ROTMISTRZ.

Jeszczebym ci dał jedną radę: masz stary miód?

JACEK.

Jest w piwnicy.

ROTMISTRZ.

Każ przynieść butelkę wytrawnego, zapleśniałą, wypijemy po szklance, zaraz ci się w oczach rozjaśni i doda otuchy sercu: pójdą oświadczyć jak... po miodzie. (*Odchodzi*).

SCENA X.

P. JACEK—*sam*.

Albo dobra rada, albo licha zdrada: co tu myśleć? co poczynąć? Dlaczego mu tak na sercu leży, żebym się ja tak prędko oświadczał? Czy nie chce się on mnie pozbyć? Zkąd jemu ta pewność że się księżnie podobał? A jeśli tam figę otrzymam,

a tu stracę co już tak jak w garści miałem? Mogą mnie wywieść w pole, bardzo mogą. Co tu począć? choć na węzelki ciągnąć?—nie wiem.

SCENA XI.

P. JACEK—GRZEŚ.

JACEK.

Miód nigdy nie wadzi. Słuchaj-no, Grzesiu, przynieś tam starego miodu butelczynę: tę co to z kąta...

GRZEŚ.

Z kąta? E! sasafras! cóżto będziemy obchodzić: wesele czy zaręczyny? To miód jeszcze kasztelański!

JACEK.

A kto to wie? cha! cha!

GRZEŚ.

Dziwne dziwy! Wczoraj siedzieliśmy jak w klasztorze na rekolekcyach, a dziś istny mięso-pust.

JACEK (*po chwili, słodko*).

Tys człowiek nie głupi.

GRZEŚ.

Mówią różnie; czasem mi nie brak piątej kleпки.

JACEK.

Powiedz mi, czy to może być, żeby się mężczyzna kobiecie raptownie podobał?

GRZEŚ.

To, panie, jak do kobiety i jak do mężczyzny, sasafras! Są takie, co jak słoma goreją, a są, co jak wilgotne drzewo próżnoby podpalać.

JACEK.

No, ale gdyby tak naprzykład mężczyzna niepozorny, ale skromny?

GRZEŚ.

Hm! niby jak pan? a co?

JACEK.

Niby jak ja.

GRZEŚ.

Gusta są różne. Z waćpana niczego człowiek, jak się umyjesz i ogolisz: chudy, ale krzepki; blady, ale zdrow; jak na męża zresztą, pokorny i cichy: to niezgorzej.

JACEK.

I nie byłoby nic niedorzecznego, gdybym się podobał.

GRZEŚ.

Jabym się nie dziwił, sasafras!.. i pobłogosławił.

JACEK.

Ale to nie o mnie rzecz idzie. Pójdź-no po miód.

GRZEŚ.

Idę. (*Odchodzi*)

SCENA XII.

JACEK—*później* RÓZIA.

JACEK (*chodzi zamyślony*).

Ktoby to był powiedział, gdym z Oszmiany kałamaszeczką wyjeżdżał że aż do Saxonii zajadę karetą?

(*Rózia wchodzi*)

Ot, dobrzeby się i jej spytać: nigdy człek na ostrożności nie straci. Hm! hm! Dzień dobry waćpannie! pogoda piękna! (Jak tu przyjsć do rzeczy?) Jak się też waćpannie zdaje, gdyby taki człowiek jak ja, zupełnie do mnie podobny (ale nie ja), chciał się przypadkiem żenić, czyby mógł serce niewiasty pozyskać?

RÓZIA (*śmiejąc się*).

A czemuż nie?

JACEK.

Nie jestem zbyt stary?

RÓZIA.

Waćpan stary?! gdzie zaś, w sile wieku!

JACEK.

I niebardzo źle wyglądam?

RÓZIA.

Waćpan jesteś bardzo poważnie przystojny.

JACEK (*na stronie*).

Wcale rozsądna dziewczyna.

RÓZIA (*na stronie*).

Ani chybi, zwaryował! Już mu księżna musiała napędzić tych wątpliwości.

JACEK (*na stronie*).

Wszystkich się radzić, a siebie nie: to głupstwo... odwagi braknie; trzeba to raz skończyć! O Rotmistrza już jestem spokojny, że mi nie przeszkodzi; Petryllę tylko inaczej skierować muszę, aby mi nie zawadzał. Otóż i on! Gdyby Rózia odeszła: idzie, chwała Bogu!

(*Rózia odchodzi powoli, szydersko przypatrując się Jackowi*)

SCENA XIII.

P. JACEK—PETRYLŁO.

JACEK.

Dobry wieczór kochanemu panu!

PETRYLŁO (*smutny i zadumany*).

JACEK.

Waćpan coś wzdychasz i sumujesz?

PETRYŁŁO.

At! różne myśli przychodzą.

JACEK.

Widać złe myśli.

PETRYŁŁO (*macha ręką*).

Człek całe życie głupi, a gdy chce na rozum wziąć, jeszcze się gorzej popisie: ot, jak dziś!

JACEK.

Pewnie ta księżna jejmość tych rozmyśłów przyczyną?

PETRYŁŁO.

Potrosze.

JACEK.

Bo to waćpanowie wszyscy, byle twarzą gładka, a po panu tom się tego nigdy nie spodziewał! wszakci to dawny afekt go do Cześnikowej przywiązywał.

PETRYŁŁO (*gniewny*).

Tak, tak, gadaj zdrów! Wiazał, wiazał, pókiś waćpan nie porozwiązywał!

JACEK

Kto? ja?

PETRYŁŁO.

A któż? Kto im wmówił, żeby za mąż nie szły? kto je jarzmem straszył? kto tego piwa nawarzył? Byłbym dawno miał Basię, żeby nie waćpan.

JACEK (*łamiąc ręce*).

Miły Boże! cóż ja tu mizerne stworzenie zawiniłem? co ja tu znaczę? A jeśli ośmieliłem się uczynić uwagę...

PETRYŁŁO (*trzęsie głową*).

Jakiś tu mi dziś dobry i pokorny! niby to ja oczu i uszów pozbyłem? Byłaby Marta Rotmistrzowi, a ona mnie odmówiła, gdyby nie twoje frymarki pokątne?

JACEK (*na stronie*).

Ten i bez miodu się rozgadał! (*głośno*) Panie a dobrodzieju! za cóż do mnie żale o płochy umysł kobiecy? Ja, kochany panie, uniżony wasz zawsze i pokorny służeczka, przyjaciel wierny, czyżbym mógł i śmiać szkodzić?

PETRYŁŁO.

Wszystko to waćpana sztuczki.

JACEK.

Moje?

PETRYŁŁO (*groźąc*).

Ale za sztuczki będziesz ty miał teraz sztukę!

JACEK (*na stronie*).

O! o! ten mi się tu wygada. Słuchajmy: wypaple się dobra dusza.

PETRYŁŁO.

Tylko że ja i na tem nie nie zyskam! Rotmistrz mi całe głupio poradził: darmom się do tej mało-wanej księżnej naumizgał, a Basia swoje; jeszcze popsuł sprawę: gadać do siebie nie daje. A no! kiedy tak, bierz djabli te komedye! to mi wszystko jedno.

JACEK.

Sztuki? komedye? O czem to pan dobrodziej mówić raczysz? nie mogę jasno pojąć.

PETRYŁŁO.

Ja teraz tu jasno wszystko pojmuję, ale widzę, że mojej pieczeni przy tym ogniu nie upiekę. Pal ich djabli z komedya!

JACEK (*z porozumieniem*).

Zarazem się domyślił, że to jest jakaś komedya!

PETRYŁŁO.

Ho! ho! nosa masz dobrego, doprawdy!

JACEK (*śmieje się sucho*).

Tylkom umyślnie udawał, że nic nie widzę.

PETRYŁŁO.

Byłem tego pewny! Bo ktoby nie poznał, że to prosta szlachcianka: taka ona księżna jak ja kapucyn!

JACEK.

Otóż jest! W istocie poznałem natychmiast, że to fałszywa księżna.

PETRYŁŁO.

A jednak cię przyłapali, ha!

JACEK.

Mnie? to ja ich przyłapałem! cha! cha! Dałem jej z siebie drwić umyślnie, ale zobaczymy jak się to skończy!

PETRYŁŁO.

Zabawnie.

JACEK (*śmieje się*).

Bardzo zabawnie... dla kogoś! (*na stronie*) Czekajcie! wszystko wiem: o mało nie zrobiłem głupstwa! Niechże Bóg da zdrowie papli! (*głośno*) Takto zawsze mości dobrodzieju, na sztuczках i udawaniu nie się nie zyskuje: trzeba iść prostą drogą. Gdy Cześnikowa domyśli się lub dowie, nigdy tego nie daruje waćpanom.

PETRYŁŁO.

Mnie? Ja ręce umyвам i jadę do domu!

JACEK (*kłania się*).

Nie śmiem wstrzymywać.

PETRYŁŁO.

Czuprynę tylko natrę Rotmistrzowi, nie chcę więcej wiedzieć o tem.

JACEK.

Bardzo sprawiedliwie!

(Petryllo odchodzi powoli).

Oddycham! stałem nad jamą: byłbym na łeb padł! Błogosławieni to ludzie tacy, jak ten szlachcic, niewinni i prostego serca: ściśniesz ich trochę, poleje się jak z gąbki, co w środku siedzi. Boddajto z takimi mieć do czynienia! Chwała Bogu, że moja Cześnikowa nadchodzi.

SCENA XIV.

P. JACEK—BASIA *smutna*.

JACEK.

Mogę mieć chwileczkę rozmowy?

BASIA.

Nie bardzo w humorze; ale jeśli pilno...

JACEK.

Dosyć nagląca sprawa, zwłaszcza, że tu o dom pani Cześnikowej idzie?

BASIA.

O mnie? o dom mój?

JACEK *(poważnie)*.

Dotąd cierpliwie znosiłem to, co się działo; narreszcie przyszła pora, że czas uniżonemu słudze

uczynić uwagę. Przypomnij sobie, pani, dziś rano moje rady i przestrogi, niepokój z powodu przybycia Rotmistrza i tej księżnej: nie było to daremnem. Wielem przeczuwał, domyślał się, a gdy mam pewność, że się nie mylił, czas odkryć wszystko...

BASIA.

Przerażasz mnie! cóż się stało?

JACEK *(z uczuciem)*.

Wszystkiego Rotmistrz nawarzył... Czarna niewdzięczność: oto życia płochego owoce!

BASIA *(z żywym niespokojem)*.

Ależ cóż to jest? co to jest?

JACEK.

Zaraz się pani dowiesz o wszystkim. Przybył kochany Rotmistrz i zastał tu świętobliwy pokój: nie w smak mu poszło, postanowił go zamącić, aby rybkę w mętach ułować. Nie podobało się, żeś pani odprawiała Petryllę, bo nie miał z kim polować; że za jej przykładem poszła p. Marta, którą postanowił uwieść.

BASIA *(tamiąc ręce)*.

Uwieść!!

JACEK *(poprawując się)*

Uwieść... to jest ożenić się. Nie podobało się i to, że ja wierny służka mam ucho i wiarę u dobrodziejki mojej: więc zaraz wszystko do góry nogami.

BASIA.

Mój Boże! przestraszam się: co waćpan mówisz?

JACEK.

Po żołniersku tedy kochany Rotmistrz poczał. Postanowiono mnie słabego przywieść na pokuszenie, i zrobić pośmiewisko z bogobojnego człowieka: udano jakąś awanturnicę za księżną.

BASIA.

Więc to nie jest księżna?

JACEK.

Ona księżna! To jakaś pani duszka, przyjaciółka Rotmistrza jeszcze z obozu pod Lwowem, która tu za nim przyciągnęła; a pani ją przyjmujesz i honorujesz.

BASIA.

Ale to okropnie!

JACEK.

I Petryłło o wszystkim wiedział...

BASIA.

A! on! on winien najwięcej: jam mu wierzyła!

JACEK.

On jeszcze jak on: słabizna, Cześnikowo dobrodziejko, chyba grzeszny, że nadto był Rotmistrzowi posłusznym. Rachowali, że mnie omamiał, oba-

łamuć: umyślniem im dał się rozgościć i począć, dozwoliłem wywieść się w pole: ale gdy rzeczy dojrzały, czas objawić prawdę.

BASIA.

A! jeśli tak jest, nie chcę ich widzieć nawet!

JACEK.

Tak jest! Spytaj pani Rotmistrza: przyzna się.

BASIA.

Nigdy mu tego nie daruję. (*Wychodzi żywo*).

JACEK.

Ot tom im piwa nawarzył! (*zacierając ręce*) Niechże teraz z Pisarzowicza żartują! Na zdrowie waszeciom! (*Uśmiecha się*).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

Akt V.

Teatr przedstawia ten sam pokój co w akcie poprzedzającym. Butelka miodu na stoliku.

SCENA I.

ROTMISTRZ *siedzi—wpadu* GRZEŚ.

GRZEŚ.

Nieszczęście! teraz tośmy już z kretesem wszyscy przypadli, na wieki. Pan Jacek weźmie nas, sasafraś, w niewolę babilońską.

ROTMISTRZ.

Co ci takiego? mucha jaka ukąsiła?

GRZEŚ

Wszystko się wydało! byłem świadkiem tej okropności; Petryłło, którego nasza pani srodze traktowała za to, że do księżnej jakoś zanadto przysiadła, z rozpacz wielkiej, poszedł i całą

historią o księżnie podrobionej wyśpiewał panu Jackowi. Ten jak tylko zważał, że to łapka na niego, do pani; a Cześnikowa jak się dowiedziała o robocie, i na pana i na nas: w gniewie pobiegła wszystkich rozpedzić!

ROTMISTRZ (*porywa się*).

A! do kaduka! Grześ leć za Cześnikową w trop, powiedz że ja tu jestem; zaklinaj, aby naprzód zobaczyła się ze mną. Jeżeli możesz pod jakim pozorem, choćby dla miodu, przypędź tu i Sołoduchę, a dawaj co prędzej, nim się co złego stanie: ja jeszcze wszystkiemu zaradzę.

GRZEŚ.

Co to już reperować. Garnek łatany nie wart, zawsze ciecze; już tu i pańska głowa nie da rady! A! ten Petryłło! ten Petryłło!

ROTMISTRZ.

Petryłło człek zacny, tylko go nie stworzono do takiej roboty. Ale ba! nie takieśmy to w życiu przechodzili konjunktury! Ruszaj!

(*Grześ wybiega*).

SCENA II.

ROTMISTRZ *sam*.

No! teraz gra ostateczna: albo on mnie ztąd wyforuje na wieki, albo ja go odkryję trutnia jakim

jest, i każe mu kałamaszkę zaprzęgać. (*patrzy w okno*) No! szczęściem Grześ panią Cześnikową zawrócił i poprowadził do jej pokoju; ona tam na mnie zaczeka. Teraz gdyby mi tylko aniołowie stróże przynieśli tu Soloduchę, nie puszcze go, aż mi musi solenne głupstwo zmalować! (*patrzy na miód*) Ot jest sprzymierzeniec! ale jedna butelka mało! głowę mieć musi tęgą bestya. Tylko że i dębniak minę ma starą; czasem i lampeczka takiego wygodzi tak, że nie wstaniesz. Dobrze wygląda butelka! E! to jeszcze miodek kasztelański dziada pana Cześnika, dosyć będzie jednej. Byle mi go tu napędzili w sieć. A no! dobra nasza!

SCENA III.

JACEK *wsuwa się powoli*—ROTMISTRZ *bieży przeciwko niemu z otwartymi rękoma*.

ROTMISTRZ.

A! a! kochanego Pisarzewicza! czekam na ciebie z miódkiem; sam nie śmiałem zaczynać, bo incognito pić nie lubię: we dwóch, to mi dopiero rozkosz! Już we trzech nie tak.

JACEK (*pokornie z ukłonem*).

Dziękuję: ja nie piję.

ROTMISTRZ.

Cóż znowu? przypominasz sobie przecie na com ci to lekarstwo ordynował. Na ten raz choć nie pijasz, wierzaj mi nie zawadzi.

JACEK.

Ani teraz, ani nigdy; rozmyśliłem się lepiej, niepotrzebne to dla mnie rzeczy: dam pokój.

ROTMISTRZ.

Jakto? kwitujesz z księżnej?

JACEK (*śmieje się*).

Wstydź się waćpan, mnie starego wróbla chciałeś złapać na plewy.

ROTMISTRZ (*udając zadumienie*).

Ja? waćpana? na plewy? Co to u licha! tłumaczże mi się?

JACEK.

No! no! dość powiedzieć, że Petryllo wszystko wyśpiewał przedemną!

ROTMISTRZ (*tak samo*).

Ale cóż takiego? co?

JACEK.

Co? żartuj zdrów, kochany Rotmistrzu; wiem co to za gatunek księżnej, i pocięcie wy ją tu przywieźli, jestem zupełnie uwiadomiony: darmo udawać, rzecz skończona.

ROTMISTRZ (*rusza ramionami*).

Jestem jak tabaka w rogu, nie rozumiem.

JACEK.

Ślicznie to pan udajesz wszystko, ale darmo, bo ja się złapać nie dam.

ROTMISTRZ.

Co udaje? co darmo? kogo łapać? pleciesz jak Piekarski na mękach! tłumacz się jaśniej; ja nie wiem o co chodzi. Bestya Petryłło, jakiego on tu piwa nawarzył!

JACEK (*zdziwiony*).

Kochany Rotmistrzu jeszcze nie rozumie?

ROTMISTRZ.

Nie a nie, ale mówno mi obszerniej; jeżeli co jest, to się i do śmiertelnego grzechu przyznam. Co prawda to prawda! (*po chwili*) A teraz gdybyśmy sobie usta zwilżyli?

JACEK.

Dziękuję.

ROTMISTRZ (*nalewa szklanki*).

Powachaj tylko, jak to pachnie! ambrozja!

JACEK (*wachając miodu*).

Stary! stary.

ROTMISTRZ.

To jeszcze kasztelański.

JACEK (*kosztuje*).

Kropelkę.

ROTMISTRZ.

Kropkę, kochany panie Jacku; a! widzę na mnie jakąś potwarz rzucono! Ty nie wiesz jak ja cię cenię i kocham (*ściska go gwałtem*). Dobry miód, przedni! Ale gadaj-no, co ci tam ten Petryłło naplał!

JACEK (*popijając*).

Kochany Rotmistrzu, darmo gadać, ja wiem wszystko.

ROTMISTRZ.

A no dobrze, więc mi powiedz wszystko, bo ja nie wiem dotąd nic.

JACEK.

E! e! filut z waszmości, wszakcito jakaś przyjaciółka jego podjęła się udawać księżnę, ażeby mnie nieboraka śmiechem okryć i w oczach mojej dobrodziejki zgubić. No? a co? nie wiem?

ROTMISTRZ (*sucho*).

To ty wiesz więcej odemnie jak widzę. A to ci Petryłło takich rzeczy nagadał! Doskonale! cha! cha! Napijmyno się jeszcze (*nalewa*).

JACEK (*pije*).

Kropelkę.

ROTMISTRZ.

Tak! kroplę! Doskonale Petryllo zinwentował, nigdybym się tego po nim nie spodziewał.

JACEK.

Jakto zinwentował?

ROTMISTRZ.

No! no! wierz kiedy chcesz! Ale ci sprytnie dał polknąć pigułkę!

JACEK.

Jakto? onby zmyślił: to nie może być. Bardzo dobry miód.

ROTMISTRZ.

Doskonały i wytrawny.

JACEK.

Ale powiedzże-no Rotmistrzu? jak? jak?

ROTMISTRZ.

Już dosyć! uwierzyleś, niech sobie Petryllo ją bierze i kwita: to mi wszystko jedno (*nalewa*). Dobry miodek.

JACEK (*nastawia szklanke*).

Kropelkę; kto ma brać? kogo? kochany Rotmistrzu, gdybyś racyl mnie objaśnić!

ROTMISTRZ.

Albożes ślepy czy co, że jemu chodzi o księżnę i o jej miliony.. tak się bestya zapalił!... ale to tak się zapalił! (*wzdycha i pije*) A! takato dola nasza na tym padole płaczu. Kiedyś czyim przyjacielem szczerym, płacą ci niewiarą; kiedy komu dobrze życzysz i radzisz, woli pójść manowcami, aby swoim nosem..

JACEK.

Gadaj zdrów, mnie już nie złapiecie.

ROTMISTRZ.

My nie, ale ten cię gracko złapał.

JACEK.

At! gadanie! do czego to podobne... Dobry miód!

ROTMISTRZ.

Wcale dobry miód. Teraz już nie nie pomoże (*pije*). Miałem i mam dla waści, panie Jacku, prawdziwy szacunek, 'chciałem mu szczerze pomódz, przyznaję się we własnym trochę interesie. Ożeniwszy się z nią byłbyś mnie zaprotegował u króla; Petryllo mazgaj nie potrafi, choć ma dobre serce. No! ale teraz darmo o tem gadać!

JACEK.

Dajcież już pokój, aż się kurzy za wami!

ROTMISTRZ.

Z czupryny? jeszcze nie! A, a! Pisarzowiczowiczu kochany, klnę się, na nieboszczkę żonę moję.

JACEK (*siada i ociera pot z czoła*).

Historye! historye!

ROTMISTRZ (*udając smutnego*).

Wszystko przepadło! o! filut Petryho! Czyż waćpan tego nie rozumiesz, że on chcąc księżną pochwyć sam, a bojąc się jej inklinacyi widocznej dla waćpana, bajkę tę na odstręczenie upłótl. Teraz waćpan na stronie, on górą poszedł i dociera, a że dobije targu, bardzo być może! Wszelako wolałbym żebyś to był waćpan.

JACEK (*uśmiechając się*).

E! zaś?

ROTMISTRZ.

Trzeba ślepego, żeby tego nie widział!

JACEK (*do siebie*).

Czy kpi czy drogi pyta?

ROTMISTRZ.

Biedny panie Jacku, tobie na wieki wieków zostać na łaskawym chlebie; sprytny, sprytny, a z tego wielkiego strachu żeby głupstwa nie zrobić, popełniasz największe. Otóż puściłeś wróbla z garści: teraz go nie złapać.

JACEK.

Gdzież to w głowie Petrylle?

ROTMISTRZ (*kiwa głową*).

Wy jego nie nie znacie.

JACEK (*pijąc*).

Prosty człek.

ROTMISTRZ.

Na oko prosty, serdeczny, dobry, ale frant! Wygląda jakby trzech zliczyć nie umiał, a łońskiego roku na jarmarku (taki ma dar szczególny wmawiania), wyperswadował zdrowiusieńkiemu szlachcicowi, że kuleje; tak, że poszedł na kuracyą do cyrulika; co chce wmówi w człowieka; trzech Węgrów z kramikami namówił na to, że wstąpili do Bernardynów.

JACEK.

Miód dobry!

ROTMISTRZ.

Dobry! ale trzeba go dopić, bo zwietrzeje.

JACEK (*sentencyonalnie*).

Zwietrzały wiele traci.

ROTMISTRZ.

Ani go poznać! Szkodaż mi waćpana.

JACEK.

A ba! niegodziwie chcieliście zadrwić ze mnie.

ROTMISTRZ (*rusza ramionami*).

Wbił sobie w głowę, nie ma sposobu! A! a! gdybyś był umiał chodzić koło tego, a księżnę pozyskał sobie, do czegośbyś waćpan nie doszedł, a ja przez waćpana! Szkoda!

JACEK.

Jaka to księżna, kiedy to licho wie, co za jedna!

ROTMISTRZ (*pijąc i dolewając Jackowi*).

Zmiłuj się, już nie mówię nosa, ale chyba oczów nie masz.

JACEK.

O! o! są i niezgorsze!

ROTMISTRZ.

Patrzcie niemi: chód, twarz, postawa, mina, wszystko książęce, a też klejnoty i bogactwa niezmierne, które ma na sobie! Nie tak to łatwo udać: toż sam brylant, który ma w spince, wart trzech wsi.

JACEK.

W istocie brylant piękny! nie uważałem na to.

ROTMISTRZ.

Blizko jak gołębie jajo, a drugi taki u pasa; a ma-nele, a łańcuchy. Toć to przynajmniej powinno

waćpana opamiętać, że kiedy klejnoty ma takie fałszywa księżna być nie może; zkażby ich nabrała? Zresztą popytaj ludzi; śledź, badaj: przekonasz się.

JACEK.

I to prawda, potrzeba było spytać ludzi.

ROTMISTRZ.

O to najłatwiej: napijmy się tylko jeszcze (*pija*).

JACEK.

W głowie mi robić zaczyna.

ROTMISTRZ.

Tę tylko dopóty, poki nie pójdzie do żołądka; ja się znam ze starym miodem, u Lubomirskiego wypilem całą piwnicę; miód ma to do siebie, że *proprio pondere* do nóg zawsze idzie.

JACEK.

Jest poniekąd racya.

ROTMISTRZ (*woła głośno*).

Hej! Grześ! sam tu!

SCENA XI. IV

CIŻ—GRZEŚ z lewej strony nadbiega.

ROTMISTRZ.

Wołaj mi tu jednego ze sług księżnej.

GRZEŚ.

Natychmiast: a jakiego? wielkiego czy małego?

ROTMISTRZ (*do pana Jacka*).

Którego wolisz?

JACEK.

Mały! mały zawsze sprytniejszy: prędzej skłamię; jak pytać to lepiej głupiego, od niego się więcej dowiesz.

(*Grześ wychodzi*).

ROTMISTRZ.

Prawidło pełne głębokiej polityki; dawaj nam tu dużego, jaki jest największy. Co z waćpana za statysta!

JACEK (*z pokorą*).

At! Boże stworzenie!

ROTMISTRZ.

Któżby mógł nawet pomyśleć wywieść cię w pole: to trzeba szalonego... Ożeniwszy się z księżną, jak nic byłbyś senatorem.

JACEK.

No! toby mogło być! Ale tfu na mare! jaka tam księżna!!

SCENA V.

CIŻ—HAJDUK *księżnej staje u drzwi*.

ROTMISTRZ.

Słuchajno przyjacielu, powiedzno nam prawdę, oto masz na piwo (*daje mu pieniądze*). Kto to jest ta wasza księżna?

JACEK.

Za pozwoleniem, ja go sam pytać będę.

ROTMISTRZ.

Dobrze: egzaminujże go ściśle.

HAJDUK (*klaniając się*).

Słucham, jaśnie pana.

JACEK.

Kto taki twoja pani?

HAJDUK (*któremu Rotmistrz nieznacznie podpowiada*).

A cóż, Jaśnie Oświecona Księżna Bamberlink z Saxońskiej ziemi.

JACEK.

Jedziecie dokąd?

HAJDUK.

Z Warszawy do Drezna.

JACEK.

Proszę! wdowa czy zameżna?

HAJDUK.

Już ciż od kiedy jaśnie pan umarł, wdowa.

JACEK.

Bogata?

HAJDUK.

A gwałt! co i pytać! W Saxonii u nas dukaty korcem mierzyli; a co zamków, a co wsi; i tu i tam, i bydła i owiec i nierogacizny.

JACEK *(do siebie)*.

Trudno, aby tak prosty człek kłamał.

ROTMISTRZ.

A cóż?

JACEK.

Coś w tem jest: nie wiem.

ROTMISTRZ.

Czemuż mi nie chcesz wierzyć?

JACEK.

A! bo trudno *(piją jeszcze)*.

ROTMISTRZ.

Petryllo cię wyprowadził w pole: to jasno jak na dłoni.

JACEK.

I toby być mogło! Jest jeszcze ten miód?

ROTMISTRZ.

Nalejemy sobie po kropli odedna, i butelka sucha! Szkoda, że tylko jedną przynieśli.

JACEK.

Człowiek się czuje rzeświejszym.

ROTMISTRZ.

Teraz byleby mi się księżna nawinęła... dobijemy reszty.

(Wychodząc z hajdukiem, spotyka we drzwiach Petryllę, któremu szepcze na ucho i popycha go do pokoju).

SCENA VI.

JACEK—PETRYLŁO.

PETRYLŁO.

Bywajcież mi zdrowi, już jadę.

JACEK.

A księżna? ha? *(śmieje się)*.

PETRYLŁO.

Daj mi już z temi babami pokój: człowiek z niemi głowę traci.

JACEK (*na stronie*).

Jakby go tu zająć.

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Jakby tu poprawić sprawę.

JACEK (*na stronie*).

Nie śmiem go spytać.

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Boję się odezwać.

JACEK.

Naprzykrzyła się waćpanu komedia i odjeżdżasz.

PETRYŁŁO.

Hm! hm! coś naksztalt tego? A jak się waćpanu zda?

JACEK.

Przyznam się, żem waćpanu uwierzył.

PETRYŁŁO.

Doprawdy?

JACEK.

Ale czy nie posunąłeś się zadaleko?

PETRYŁŁO,

W istocie, być może, iż mnie gniew posunął trochę za...

JACEK.

Czy nie miałeś pan w myśli mnie się pozbyć od niej? (*na stronie*) Szkoda, że już miodu nie ma, dobyłbym nim prawdy z niego.

PETRYŁŁO (*uśmiechając się, na stronie*).

Co to za szkoda, że kłamać nie umiem; sam się prosi, żeby go durzyć!

JACEK (*coraz bardziej rozmarzony*).

A! a! widzisz waćpan, że się domyślamy potrosze, że nie łatwo starego wygę oszukać. Wpadła i waćpanu w oko księżna, chciało się samemu przy niej zostać i myślałeś mi waćpan wmówić, że to są blichtry, że ona nie księżna!! Doskonale ale i my nosy mamy!

PETRYŁŁO.

Dalipan, przedziwny!

JACEK.

Waćpan się śmiejesz?

PETRYŁŁO (*prycha*).

Muszę.

JACEK.

Żem zgadł?

PETRYŁŁO.

Może.

JACEK.

Wiedźże waszmość, że ja choć mizerne stworzenie Boże, choć lichy słuzeczka, ale nie jestem jak upośledzony, by zemną kto co zechce mógł robić.

PETRYŁŁO (*śmiejąc się mocno*).

A! przedziwny! nieoszacowany pan Jacek! niech cię uściskam i przeproszę (*ściskają się*).

JACEK (*grożąc na nosie*).

A co? podobala się jegomości saska laleczka?

PETRYŁŁO (*ciągle się śmiejąc*).

Bardzo, bardzo.

JACEK (*śmieje się*).

O! i chciał się mnie pozbyć sztucznie.

PETRYŁŁO.

Także bardzo, bardzo.

JACEK.

Aż tu pan Jacek wie wszystko! he?

PETRYŁŁO.

Gołąb mu w ucho szepnął.

JACEK.

A trochę miód serdeczny wygadał; co dalej?

PETRYŁŁO (*śmieje się*).

Co Bóg da. .

JACEK.

Tak jest: zobaczmy! (*siada*) Istotnie ten miód idzie, idzie wciąż w nogi, a wyjść sobie nie może; stary opieszały! cha! cha! (*do Petryłły*) waćpan nie śpiewasz?

PETRYŁŁO.

Nie oprócz gorzkich żalów i litanij.

JACEK.

E! to nie pora! a światowych tekstów?

PETRYŁŁO.

Żadnego. E! gdyby nie próżna butelka obok, *corpus delicti*, tobym waćpana nie poznał.

JACEK (*z fantazyą*).

Coto butelka. Z butelki nie nalejesz człowiekowi, czego w nim nie ma!

PETRYŁŁO.

Święta prawda!

JACEK.

A kto po trzeźwemu niepotem, po pijanemu poczciwszy nie będzie; a jam się, chowaj Boże! nie upił.

PETRYŁŁO.

Któżby cię o to posądził?

JACEK (*cicho*).

Rotmistrz, to prawda, że się ściał porządnie ale mnie nie.

PETRYŁŁO.

Wychodził jak nie na swoich nogach.

JACEK (*poglądając na drzwi*).

Słaba głowa, ale dobry człowiek.

PETRYŁŁO.

Choć do rany, ale nie do rady jednak: dać mu się prowadzić, pewnie z pieca na łeb.

SCENA VII.

CIŻ—ROTMISTRZ *wpada nagle*.

—
ROTMISTRZ.

Czuję, że mnie obgadujecie.

PETRYŁŁO.

Głosim twoje pochwały, konfederacie.

JACEK *skłania głowę*.

Ja oddawałem sprawiedliwość.

ROTMISTRZ.

Suum cuique... dziękuję! Kochany Petryłło, gdybyś się sobie poszedł przewietrzyć? Mam słówko poufne do pana Jacka.

(*Petryłło rusza ramionami i odchodzi—Rotmistrz cicho do Jacka*).

Księżna tu przyjdzie za chwilkę.

JACEK.

A jeśli to nie księżna?

ROTMISTRZ.

Jak sobie chcesz! Jeśli nie wierzysz, idź spać: Petryłło ją sobie weźmie... Przecież się dałeś był przekonać: te klejnoty i manele...

JACEK (*kończy*).

Konwinkujące!

ROTMISTRZ.

Korzystajże z czasu: ja Petryłłę umyślnie odprawiłem i dotrzymam go, że ci nie przeszkodzi. Ty padnij do nóg i kończ.

JACEK.

No, to padnę!

ROTMISTRZ.

I oświadczyć się.

JACEK.

Oświadczę: kiedy ginąć, to ginąć.

ROTMISTRZ.

Pewnie.

JACEK.

Czuję się usposobionym do zrobienia historii: wziąłbym sam jeden szturmem Kamieniec.

ROTMISTRZ

W sam raz tak się czuć potrzeba, oświadczając się niewieście; to dobry znak: pójdzie szczęśliwie. Ale cyt! otóż i ona: zostawiam was samych i stoję na straży u drzwi. Odwagi, Pisarzowiczu!

SCENA VIII.

P. JACEK *wstaje—wchodzi zamysłona i poważnie* KSIĘŻNA.

JACEK *(do siebie)*.

Księżna nie księżna, kat ją wie, ale wcale niczego kobieta; nawet ten miód tak wzrok poprawia, że widzę daleko lepiej jak ładna... Nierównie piękniejsza niż była zrana: co za buzia! jakie oczki a rączka! a nóż! I taki musi być księżna: to znać zaraz z fantazyi. A te klejnoty u pasa i karbunkul u szyi, także coś znaczą! Nie ma co myśleć: jeśli mi trochę dopomoże sama, to się jej oświadczę na złość wszystkim. Pal go kaci! Petryłło kłamie. Księżna, prawdziwa księżna! takby długo nie udawała... hajduk zresztą poświadcza. A nu! Pisarzowiczu oszmiański, śmiało, śmiało!

KSIĘŻNA *(powoli)*.

Gdzieżeś to waćpan bywał tak długo, zem go nie widziała?

JACEK *(na stronie)*.

Mówi długo, dobry znak: znaczy *po polsku* tęskniłam za waćpanem! *(głośno)* Zwyczajnie, mościu księżno, kłopoty domowe, zajęcia gospodarskie...

KSIĘŻNA.

Waćpan, nie szanując zdrowia, nazbyt się pracy oddajesz.

JACEK *(na stronie)*.

Rozumiem: to znaczy *po polsku*, że się troszczy o zdrowieczko moje. *(głośno)* Obowiązki sumienia...

KSIĘŻNA.

Jak mało ludzi do niego podobnych!

JACEK *(na stronie)*.

Znaczy, że poznała się na mnie. *(głośno)* Nie pochlebiam sobie...

KSIĘŻNA.

Skromność jest podstawą cnót wszystkich.

JACEK *(na stronie)*.

Znaczy, że fundament jest, a zatem i reszta być już musi. *(głośno)* Łaska Waszej Księżęcej Mości zbyt mnie zawstydza, hm! *(na stronie)* Gdyby mnie jeszcze odrobinę ośmieliła...

KSIĘŻNA.

Jakże szczęśliwa Cześnikowa z posiadania takiego przyjaciela!

JACEK *(na stronie)*.

Znaczy: chciałabym i ja podobnego, to jasno! *(głośno)* Szczęśliwszy daleko, kto Waszej Księżęcej Mości w podobny sposób służyć i życie jej swe

ślubować będzie mógł ku wiecznej niewoli. (*na stronie*) To jasno, ha!

KSIEŻNA.

Ja, na nieszczęście, w życiu mojem spotykałam dotąd samych wstrętliwych lub obojętnych.

JACEK.

A mościa dobrodziejko! gdyby mnie dola szczęśliwa, godzina wybrana, moment niebieski przykuł ogniwem do stóp Waszej Księżęcej Mości: jakżeby był fortunnym, jakżeby...

KSIEŻNA.

Ot, jedź waćpan ze mną do Saxonii!

JACEK.

Gdybym mógł, ale *quo titulo?*

KSIEŻNA.

Jak waćpan sam chcesz. (*Wyciąga mu rękę*).

JACEK.

(*bierze bająliwie, i nie wiedząc co zrobić, trzyma; trzyma; potem całuje ostrożnie*).

Oszaleję! Wasza Księżęca Mość chcesz ostatka rozumu pozbawić sługę swego.

KSIEŻNA.

Nie bójże się waćpan: mów wyraźniej.

JACEK.

Hm! mogę się ośmielić?

KSIEŻNA.

Potrzebaż, bym ja ośmieliła?

JACEK.

Wasza Księżęca Mość tak jesteś dobrą dla słuzeczki swego!..

KSIEŻNA.

Żal mi waćpana.

JACEK.

Żal z powodu?

KSIEŻNA.

Waćpan tu w tej wsi zapadłej stracisz lata: mógłbyś na większem *teatrum* inną odegrać rolę.

JACEK.

Sam to czuję.

KSIEŻNA.

I zająć daleko wyżej.

JACEK.

Wyżej! powiadasz Wasza Księżęca Mość: z pokorą przyjmuję wyrok Waszej Księżęcej Mości; ośmielę się tylko...

KSIEŻNA.

Ośmiel się waćpan, ośmiel.

JACEK.

Zbytek szczęścia usta mi klei.

KSIEŻNA.

Otworzyćby powinien.

JACEK *(na stronie)*.

Miód ma swoje dobre: daje odwagę; ale język w pantoflach. Chciałbym coś mówić: nie wiem od czego zacząć; a czas... *(chrząka)*.

KSIEŻNA.

Słucham waćpana powolnie, czekam. Jużciż trudno, bym waćpanu więcej nad to, coś słyszał, oświadczyć miała...

JACEK.

Trzeba wejść w jej położenie *(staje, pokaszliwa i zaczyna)*. Mówią mythologowie pogańscy, że niekiedy bogi i boginie zstępowały między śmiertelnych, znudzone Olympu klauzurą; powiadają, że niekiedy prostych pasterzy do stóp swych dopuszczały, a nie obrażając się afektem ziemskiej piersi, łaską ich swą darzyły: otóż przed tobą, bóstwem empirejskiem, stoi mniejszy od pastucha greckiego, człowiek skomprimowany, skonwinkowany i skonfundowany, prosząc i apelując o litość albo śmierć! *(kłęka)*. Hołd przyjmij, królowo, i nie odpychaj stręczącego się na wiekuiste usługi najniższego adoratora!

(We drzwiach z tyłu ukazują się powoli: Rotmistrz, Cześnikowa, Łowczanka, Petryllo, Grześ i Różia).

Rzeknij słowo, a jadę nie do Saxonii tylko, ale na lody oceanów septentryonu, na pustynie afrykańskie, pani żywota mojego!

KSIEŻNA *(powoli)*.

Co za wymowa! kogoby nie ujął?

JACEK *(kłęzcząc)*

Nie trzymaj mnie w niepewności okrutnej; czekam oto jak winowajca przed trybunałem wyroku: pisz dekret, pani!

KSIEŻNA.

Czegoż waćpan żądasz?

JACEK.

Ośmielam się... w istocie ośmielam się... prosić o afekt i rękę Waszej Książęcej Mości!

KSIEŻNA *(wstając nagle, ze śmiechem)*.

Patrzcie! a to mi śliczny ptaszek do serca i ręki!

(Obraca się do wchodzących).

Biore waćpaństwa wszystkich za świadków, jako pan Pisarzowicz uczynił mi ten afront, i oświadczył się... A toby było pięknie, gdybym podobnego niedobitka do Saxonii zawiozła! Myśleliby, że u nas Turcy wszystkich mężczyzn do nogi wybili!

(Jacek wstaje pomieszany).

A nie mówiłeś waćpan, że małżeństwo srogie niebezpieczeństwo, jarzmo, niewola, stan pełen do zguby wiodących zasadzek!? Chciałżebyś mnie na to ciężkie wyprowadzić rozdroże? *(śmiejąc się)*. Dość komedyi już jej wszyscy mamy do syta. Bądź waćpan zdrow!

(Wszyscy kłaniają się Jackowi, który powoli odchodzi i kryje się w kącie)

ROTMISTRZ.

Cześnikowo dobrodziejko! siostró najukochańsza! przebac mi i daruj, żem cię po żołniersku trochę uratował od zguby. Powiem ci dykteryjkę na wytłumaczenie: pewnego razu orderowy pan tonął w rzece, a kozak, który był do niego mocno przywiązany, zobaczywszy niebezpieczeństwo, buch za nim w wodę. Za co go tu łapać, żeby wyciągnąć? co schwyli, to czupryna! Nie było sposobu: musiał go na brzeg za włosy ciągnąć. Wojewoda dał mu sto dukatów za życie i sto batów za nieuszanowanie swojej czupryny. Moja dobrodziejko, żeby to i mnie spotkało!

BASIA (*podaje mu rękę*).

Nie, drogi bracie: samej mi wstyd, żem się temu jegomości dała uwodzić.

ROTMISTRZ (*do siostry*).

Poznajże się z chorążyną Hurską... a teraz wiat! Łowczanko, podaj mi rączkę; Petryllo, weź Cześnikową, Grześ Rózię, i dajcie nam choć jedną jeszcze butelkę kasztelańskiego miodu!

K O N I E C.

BIBLIOTEKA
JIK
P. 88.11.10.11

